

Laurey Bright

Marzyciele

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- O, do licha! - Riley Morrisset nacisnęła na hamulec, ale było już za późno. Wyjeżdżając spod sklepu, zbyt wcześnie wykonała skręt kierownicą. Ostry, metaliczny zgrzyt zadrapanej karoserii nie pozostawiał żadnych wątpliwości, co się stało.

Westchnęła, wyłączyła silnik i wysiadła z samochodu, żeby dokonać oględzin strat. Jej, przedpotopowy ford wydawał się nietknięty, za to lśniąca, ciemnozielona bmw miało rozległą, brzydką rysę na błotniku.

- Do licha! - zaklęła ponownie. - Co tu zrobić? Chyba po prostu zostawię kartkę z moim adresem za wycieraczką. Ale najpierw muszę zjechać z drogi, myślała gorączkowo, bo kierowca stojącej za jej fordem małej ciężarówki zaczął niecierpliwie trąbić.

Pospiesznie wróciła do auta, wrzuciła wsteczny bieg, lecz nagle aż podskoczyła z wrażenia, gdyż tuż przed nosem ujrzała męskie, muskularne ramię, sięgające do stacyjki po kluczyki.

Spróbowała wyrwać kluczyki intruzowi, zwłaszcza że doczepione do nich były także klucze do domu, ale w efekcie tej szarpaniny pęk kluczy spadł gdzieś między drzwi a siedzenie. Riley próbowała zamknąć okno, lecz już po chwili przypomniała sobie, że jest zepsute. Co gorsza, nieznajomy złapał ją za nadgarstek, toteż Riley, niewiele myśląc, wpiła zęby w jego dłoń.

Mężczyzna zaklął, lecz nie zwolnił uścisku. Zdesperowana Riley zaczęła wrzeszczeć jak najęta.

Nieznajomy mruknął coś pod nosem, wypuścił w końcu rękę Riley, po czym obejrzał się za siebie, jako że za plecami usłyszał czyjeś kroki.

Riley odetchnęła z prawdziwą ulgą, widząc dwóch roślących mężczyzn zbliżających się w ich stronę. Mieli potężne,

wytatuowane ramiona i nie wyglądali jak uosobienie niewinności. Jeden z nich miał głowę wygoloną na łyso, głowę drugiego, chyba Maorysa, zdobiły długie dredy.

Riley spodziewała się, że w tej sytuacji jej napastnik po prostu ucieknie, lecz nic takiego się nie stało.

- Ma pani jakieś kłopoty? - zapytał jeden z ochroniarzy, rzucając przy tym groźne spojrzenie intruzowi. Jego kolega stanął tuż obok.

- Owszem, ta pani ma kłopoty - odparł z naciskiem nieznajomy, zanim Riley zdążyła cokolwiek powiedzieć. - Zarysowała karoserię mojego samochodu, a potem chciała uciec. Gdy ją próbowałem zatrzymać, ugryzła mnie w rękę.

Riley otworzyła szeroko buzię. Spojrzała na nieznajomego, potem na eleganckie bmw, i znowu na mężczyznę. Dopiero teraz miała okazję przyjrzeć się mu. Był ubrany w znakomicie skrojony garnitur i białą koszulę. Stroju dopełniał krawat w delikatne, szare prążki. No i ten cudowny akcent nieznajomego, bez cienia nowozelandzkich naleciałości ani udawanej, brytyjskiej afektacji. Ciekawe...

Nie, ten człowiek nie wyglądał jak groźny napastnik. Niedobrze, pomyślała Riley.

Jej niedoszli wybawcy spojrzeli po sobie, po czym długowłosa zajął się oglądaniem karoserii.

- Trzeba będzie klepać - stwierdził głosem znawcy. Riley zwróciła się do nieznajomego:

- To pański samochód?

- Owszem, mój - odparł z nutą arogancji w głosie mężczyzna.

- Proszę to udowodnić - wypaliła Riley i śmiało spojrzała mu w twarz. Miał wystające kości policzkowe, wysokie czoło, kruczoczną czuprynę i ładne, dość szerokie usta.

Nieznajomy również jej się przyjrzał, po czym z kieszeni marynarki wyciągnął portfel, a z niego cieniutki elektroniczny notes.

- Nie pozwólcie jej uciec - rzucił do łysego mężczyzny.

- Ależ ja się nigdzie nie wybieram - odparła Riley oburzona, lecz nieznajomy nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, obszedł jej auto i stanął z tyłu.

Mała ciężarówka zatrafiła ponownie, ale jej kierowca, widząc, że nic w ten sposób nie wskóra, postanowił w końcu wyminąć forda Riley. Łysy ochroniarz ustąpił z drogi i z założonymi na piersiach rękoma stanął przed jej autem..

No pięknie! - mruknęła w duchu Riley. Ten facet mnie pilnuje...

- Oto numer mojej polisy oraz mój adres domowy. Poproszę o pani dane. Chyba nie ma wątpliwości, że to pani jest sprawczynią szkody? - Właściciel bmw podniósł głos.

Ochroniarze spojrzeli po sobie.

- Co pani na to? - zapytał Maorys.

- Ten pan szarpał mnie za rękę. Nie widzieliście? - spytała gorączkowo Riley.

- Złapałem tę panią, by uniemożliwić jej ucieczkę z miejsca zdarzenia - wyjaśnił najspokojniej w świecie. - Chyba nic się pani nie stało... - Wymownym gestem wskazał ślady po zębach na swojej dłoni. - Myślę, że załatwimy tę sprawę sami. Prawda? Bardzo panom dziękuję za pomoc - zwrócił się do ochroniarzy.

- Nie ma sprawy, szefie - mruknął łysy.

- Kobiety za kółkiem... - rzucił ten z dreadami, uśmiechnął się głupkowato, po czym obaj się oddalili.

Riley aż kipiała ze złości, jednak postanowiła udawać niezwykle chłodną i opanowaną.

- Zamierzałam zostawić swój adres i numer telefonu za wycieraczką pańskiego wozu - powiedziała wyniośle. We

wstecznym lusterku zobaczyła następne auto. - Widzi pan, tarasujemy wyjazd.

- W takim razie proszę zaparkować obok mnie - rozkazał raczej niż poprosił.

Gdy tylko wysiadła, zapisał coś na wizytówce. Po chwili podał jej swój bilet wizytowy, notes i długopis.

- Proszę podać imię, nazwisko, miejsce zamieszkania, nazwę i adres firmy ubezpieczeniowej. Moje dane są na wizytówce - powiedział z naciskiem.

Chowając kartonik do tylnej kieszeni dżinsów, Riley poczuła piękny zapach wody po goleniu. To pewnie jedna z tych marek, której cena przyprawia zwykłego śmiertelnika o zawrót głowy, pomyślała złośliwie.

- Ale ma pani prawo jazdy? - zapytał niespodzianie.

- Oczywiście, że mam - prychnęła oburzona Riley.

- Wygląda pani jak nastolatka - stwierdził sceptycznie. - To samochód rodziców?

- Mam dwadzieścia cztery lata - wypaliła. - A samochód jest mój!

Nieznajomy bez większego zainteresowania zlustrował ją od stóp do głów. Zobaczył upięte w koński ogon włosy, obcisły podkoszulek, sprane dżinsy i dość zniszczone adidasy. Gdy Riley rano wyjmowała te spodnie z szafy, nie zauważyła, że są w takim opłakanym stanie. Mimo to ten facet nie miał prawa patrzeć na nią z tak jawną pogardą. Dumnie podniosła głowę. Sięgała mu do brody, co oznaczało, że miał mniej więcej metr osiemdziesiąt.

Riley na ogół śmiało patrzyła mężczyznom prosto w twarz, jednak ten facet był tak blisko, tak niepokojąco i niebezpiecznie blisko...

- Proszę się odsunąć, pan mnie przytłacza - rzuciła bez zastanowienia.

Nieznajomy zrobił krok w tył, zwiększając dystans między nimi do mniej więcej metra.

- Czy pani ma dobrze w głowie?

- To chyba normalne, że obawiam się atakującego mnie mężczyzny? - Pospiesznie podała mu notes i długopis. Cofnęła się.

- Nie atakowałem cię, zresztą wydajesz mi się taka mała, że...

- Ty też nie jesteś Arnoldem Schwarzeneggerem - odcięła się. Była zła, że nieznajomy przeszedł z nią na ty, nie pytając jej o zdanie.

Kąciki ust nieznajomego uniosły się nieco w górę.

- A ty chciałabyś wyglądać jak Schwarzenegger w spódnicy?

- Nie, nie chciałabym, a kobiecą kulturystykę uważam za nieporozumienie.

Mężczyzna wyciągnął ręce z kieszeni i przyjrzał się śladom po ugryzieniu.

- Przepraszam - powiedziała Riley niepewnym głosem. - Boli? - spytała, po czym odruchowo ujęła jego dłoń w swoją i zaczęła oglądać.

Miał bardzo długie, smukłe palce, zakończone starannie obciętymi paznokciami. Znów poczuła ten intrygujący zapach... Odwróciła jego dłoń. Zafascynował ją bijący równo puls...

- Naprawdę myślałaś, że chcę ci zrobić krzywdę? - wyrwał ją z zadumy jego głos.

- Tak. - Riley puściła jego dłoń.

- Przykro mi, że cię przestraszyłem.

- Nie byłem przestraszona. Byłem wściekła. Uśmiechnął się szeroko, jakby właśnie usłyszał świetny żart.

- Ja też byłem wściekły - wyznał.

- Chciałam tylko zjechać na parking, a potem zostawić swoje dane na kartce za wycieraczką twojego auta. Naprawdę nie musiałeś zachowywać się tak agresywnie...

- Sądziłem, że zamierzasz zbiec z miejsca wypadku.

- Wówczas nie wysiadałabym z auta, żeby zobaczyć, co się dzieje - broniła się. Jej wzrok powędrował w stronę brzydkiej rysy na błotniku bmw. - Hm, wygląda na to, że mogę się pożegnać ze zniżką za bezkolizyjną jazdę... - zmartwiła się. Na pewno, dodała w duchu. Przecież lakier trzeba będzie prawdopodobnie sprowadzić z Europy, a to droga impreza.

- Jeśli chcesz, możemy to załatwić bez pośredników. Dasz mi pieniądze do ręki.

- Taak - zasepiła się Riley.

- To dla ciebie problem?

Riley nie miała ochoty opowiadać mu o swoich kłopotach. Była pewna, że ten goguś od najwcześniejszych lat dostawał wszystko, czego zapragnął.

- Cóż - westchnęła. - Nauczyłam się radzić sobie w życiu. Jestem odpowiedzialną osobą...

- Cieszę się - skomentował z nutką ironii w głosie. - Szanuję ludzi, którzy umieją przyznać się do błędu.

Znowu wezbrała w niej złość.

- Naprawdę jestem odpowiedzialną osobą. I dobrym kierowcą! - rzuciła Riley, bo choć prawo jazdy zrobiła w Ameryce, oswoiła się z lewostronnym ruchem podczas pobytu w Anglii.

Bez słowa przyjrzał się szkodzie, którą wyrządziła Riley.

- Wszyscy czasem popełniają błędy. Ty również myliłeś się, sądząc, że chcę umknąć z miejsca zdarzenia!

- W porządku - odparł beznamiętnym głosem. - Wierzę ci.

- Dziękuję - odparła.

Dostrzegła, że mężczyzna bardzo bacznie jej się przygląda. Do licha, czyżby był dentystą i zauważył moje krzywe dwójki? - zastanawiała się. Instynktownie przestała się uśmiechać i oblizwała usta. Nie! To nie to, pomyślała, widząc w jego oczach dziwne błyski.

Po chwili jednak to wrażenie minęło i jego spojrzenie znów stało się chłodne i obojętne.

- Masz pracę? - spytał.

- Na pół etatu - odparła bez zastanowienia.

- Więc mogę sobie darować; ściąganie pieniędzy z twojego ubezpieczenia. W takim razie... mam dla ciebie pewną propozycję.

- Jaką propozycję? - spytała podejrzliwie. Nie powinnam oblizywać ust w ten sposób, zganiła się w duchu. Jeszcze gotów wziąć to za zachętę do podrywu...

W pierwszej chwili się zdumiał, lecz zaraz potem wybuchnął śmiechem. Ponownie zlustrował sylwetkę i strój Riley

- Nie, nie tego rodzaju... - odparł takim tonem, jakby uznał jej podejrzenia za oznakę szaleństwa.

Riley zaczerwieniła się. No tak, wyszła na kompletną idiotkę...

- Zastanawiałem się, w jaki sposób zdołasz pokryć koszty naprawy.

- Przykro mi z powodu twojego auta. Mam nadzieję, że nie sprawiłam ci wielkiego kłopotu...

- Blacharz zatrzyma je zapewne na kilka dni. Muszę pomyśleć, jak będę dojeżdżał do pracy.

- A gdzie mieszkasz? - spytała.

- W Kohi - odparł. - A co?

Kohimarama było jednym z najdroższych przedmieść Auckland. To właśnie tam stawiali swoje luksusowe rezydencje bogaci burżuje.



- Mogłabym się zabawić w twojego szofera - zaproponowała. - Gdy się go umyje, wygląda całkiem nieźle - pospieszyła z wyjaśnieniem, gdy spojrzał na jej stare, mocno sfatygowane autko. - Ale zrozumiem, jeśli odmówisz. Przepraszam, to był głupi pomysł.

- To co z tą twoją pracą? - zapytał, nie komentując jej propozycji.

- Pracuję od pierwszej do piątej, więc jeśli nie musisz wychodzić z pracy punkt piąta, mogę po ciebie przyjeżdżać. Powiedz mi tylko, gdzie...

- Dobrze, zgadzam się - przerwał jej.

- Cieszę się - odparła Riley z uśmiechem.

- Mam tylko nadzieję, że rzeczywiście jesteś dobrym kierowcą. Zadzwoń do ciebie. - Skinął głową i wszedł do auta.

Riley nie ruszyła się z miejsca, dopóki nie odjechał. Nie wiedziała nawet, jak ten facet się nazywa. Jego wizytówkę schowała bez czytania do tylnej kieszeni spranych džinsów.

W drodze do domu prowadziła ostrożniej niż zwykle. Wkrótce znalazła się przed starą, wielokrotnie odnawianą willą. Zabrała torby z zakupami z tylnego siedzenia samochodu i, jako że miała zajęte ręce, zastukała czubkiem buta do drzwi.

Otworzyła jej Linnet Yeung i wpuściła ją do przestronnej, staromodnej kuchni. Na brązowej twarzy współlokatorki Riley pojawił się szeroki uśmiech. Dziewczyna odebrała od Riley torby z zakupami.

Riley również się uśmiechnęła. Jednym z powodów, dla których lubiła swoją koleżankę, była jej niezwykła uczynność. Drugim był... niski wzrost Linnet.

Po rozpakowaniu zakupów Linnet powiedziała:

- Harry dzwonił, by powiedzieć, że nie zdąży na kolację...

- Aha - mruknęła Riley, wyjmując z torby makaron. Wśród przodków Harry'ego byli Maorysi, Irlandczycy, a także przedstawiciele innych nacji, co czyniło go stuprocentowym Nowozelandczykiem, jako że ojczyzna kiwi to prawdziwy tygiel narodów. - To może zaprosimy Loge'a i Sam? - zaproponowała Riley.

- Na pewno nie odmówią, bo uwielbiają twoją kuchnię - uśmiechnęła się Linnet. - A jak ci minął dzień?

- Zadrapałam czyjś samochód.

- O rany! Bardzo?

- Nie, odrobinę. Ale to bmw. Muszę jednak przyznać, że właściciel zachował się bardzo porządnie, chociaż go ugryzłam w rękę.

- Co takiego? - Linnet uniosła brwi, a potem, słuchając opowieści przyjaciółki, dostała napadu śmiechu. - To jak się nazywa ten facet? - spytała w końcu.

- Benedict Falkner - przeczytała na głos, wyjąwszy wizytówkę z kieszeni spodni. - Benedict? - powtórzyła. - I kimże jest nasz pan Benedict? - zastanawiała się głośno. - Dyrektor generalny Falkner Industries. No, no...

- Dyrektor generalny kazał ci płacić za niewielkie zadrapanie. Przecież on za tygodniową pensję mógłby sobie pewnie kupić nowe bmw! - Linnet nie kryła oburzenia.

- Szanuje ludzi, którzy bez sprzeciwu ponoszą konsekwencje swoich czynów - powtórzyła Riley, naśladowując jego ton.

- Ale bufon! - prychnęła Linnet.

- Za to przystojny.

- W jakim wieku?

- Koło trzydziestki.

- Hm... - Linnet przechyliła głowę i uważnie przyjrzała się przyjaciółce.

- W dodatku dobrze zbudowany... - ciągnęła Riley. - I taki... Jak by to powiedzieć? Władczy.

- Oj, chyba wpadł ci w oko, co?

- A jakie to ma znaczenie? - mruknęła Riley zrezygnowanym głosem. Przecież pan Benedict dał jej aż nadto do zrozumienia, że w ogóle nie jest nią zainteresowany. Należał do świata, do którego Riley nie miała wstępu.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Po kolacji zasiedli całą paczką przed telewizorem. Oprócz Loge'a była jeszcze Samuela, jego dziewczyna, „stuprocentowy Nowozelandczyk” Harry, i oczywiście Linnet i Riley. Rozmowę przerwał dzwonek telefonu.

- To do ciebie, Riley - powiedział Loge i podał jej słuchawkę.

- Riley Morrisset?

Ten głęboki męski głos rozpoznałaby nawet na drugim końcu świata.

- Tak, panie Falkner.

- Jutro oddaję samochód do warsztatu. Jeśli podtrzymujesz swoją wcześniejszą propozycję, to mogłabyś mnie odebrać z pracy.

- Gdzie i o której mam być?

- Przyjedź o wpół do szóstej, przed budynkiem jest prywatny parking. - Podał jej adres w centrum. - Mam miejsce po lewej stronie, znajdziesz bez trudu, na tablicy zobaczysz moje nazwisko.

Następnego dnia już na nią czekał. Riley przyjechała kwadrans po umówionej godzinie.

- Przepraszam, miałam w pracy istne urwanie głowy. - Jedno z dzieci gdzieś się zapodziało i wszyscy musieli wyruszyć na poszukiwanie. Znaleźliśmy zbiega w bieliźniarce, wśród prześcieradeł i poszewek.

Benedict nic nie odpowiedział. Bez słowa odłożył teczkę na fotel i zapiął pasy. Miał dziś koszulę w kolorze lawendy, a do tego wrzosowy krawat.

Próbowała sobie wmówić, że nie lubi takich dandysów, ale bezskutecznie. Nie było co ukrywać, wyglądał zabójczo.

Ona natomiast miała na sobie żółtą poplamioną koszulkę i wygodne, ubłocone legginsy.

- Znasz drogę do Kohi? - spytał, najwyraźniej niezbyt zainteresowany jej wyglądem.

- To nie moja dzielnica, ale wiem, jak dojechać do Kohimarama Road.

- W takim razie będę cię pilotował.

Uważnie obserwował, jak Riley wyjeżdża z parkingu. Siedział nieruchomo i uspokoił się dopiero na trzecim skrzyżowaniu. Wtedy wyjął z teczki papiery.

- Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zajmę się pracą?

- Ależ skąd - odparła szczerze. Wyjął laptop i zaczął coś pisać.

- Nie jesteś przypadkiem pracoholikiem? - spytała, gdy zatrzymali się na kolejnych światłach.

Jego palce na ułamek sekundy zastygły nad klawiaturą.

- Nie, po prostu nie lubię marnować czasu - odparł. Riley ostentacyjnie prychnęła.

- Całkiem dobrze prowadzisz.

- Przecież ci mówiłam - odparła ze złością, lecz zaraz się opamiętała. No cóż, ostatecznie nie była przecież bez winy.

Benedict nie odpowiedział, tylko z powrotem zajął się pracą. Odezwał się, dopiero gdy niemal dojechali na miejsce.

- Skręć teraz w lewo - polecił.

Po chwili znaleźli się w osiedlu pięknych domów, otoczonych zadbanymi ogrodami.

- Numer trzydzieści pięć, pod koniec alei, po prawej stronie.

- O rany! - Riley nie potrafiła ukryć zachwytu. Supernowoczesna, lecz bardzo piękna architektura, oparta na lekkiej, stalowo - szklanej konstrukcji, spodobałaby się najwytrawniejszemu znawcy sztuki. W dodatku budynek był znakomicie wkomponowany w otoczenie, dosłownie tonął w zieleni, a w dali majaczyło morze...

- Podoba ci się mój dom? - spytał.

- Wspaniały! - Miała ochotę podzielić się wrażeniami, ale jakoś nie mogła znaleźć właściwych słów. - O której mam po ciebie jutro przyjechać? - spytała tylko. - Obiecuję, że będę punktualnie.

- Wpół do dziewiątej? - zapytał raczej niż stwierdził, po czym przejechał dłonią po jej policzku. Nim zdążyła zareagować, cofnął rękę. Zauważyła, że ciągle ma znaki na nadgarstku.

- Jak twoja ręka? - zapytała ze wstydem.

- Przeżyję - odparł. - Powinnaś pamiętać, że kąsanie nieznajomych może być niebezpieczne. Łatwo złapać jakąś brzydką chorobę...

- A masz jakąś brzydką chorobę? - spytała z lekkim przerażeniem.

- Nie! - zaprotestował gwałtownie. - Jestem honorowym krwiodawcą, regularnie badam krew.

- No to wszystko w porządku - stwierdziła z ulgą.

- Dowiedziałem się, ile będzie kosztowała naprawa tej szkody. To nieduża suma, nie warto ściągać jej z twojej polisy. W razie gdyby wzrosła, pokryję różnicę.

- Dziękuję, panie Falkner.

- Przy okazji, kobiety, którym pozwalam się gryźć, mówią mi po imieniu.

- Czyli Ben? - spytała ośmielona jego pogodnym tonem. - Tak nazywają mnie tylko te, z którymi jestem... bardzo blisko - odparł cicho.

- Jesteś żonaty?

- Nie.

Jejku, gotów pomyśleć, że go podrywam, pomyślała w popłochu.

- Przepraszam, muszę wracać do domu. Do zobaczenia jutro.

Jej pasażer wysiadł z auta, po czym pochylił się i powiedział:

- Dziękuję.

Riley zawróciła i szybko opuściła luksusową dzielnicę. Na pierwszych światłach obejrzała się w lusterku. Na policzku miała plamę zielonej farby. - Do licha, pomyślała. Ten cały Benedict musiał mieć niezły ubaw... - Zeskrobała farbę paznokciem. - No a włosy... Katastrofa! Powinnam ściąć je na krótko. Nie, musiałabym dwa razy w miesiącu chodzić do fryzjera, a to kosztuje. Trudno, trzeba polubić ten artystyczny nieład.

W kuchni Riley natknęła się na Samueleę, bez reszty pochłoniętą przygotowaniem kolacji. W powietrzu unosił się zapach curry. Dzisiejsza kolacja zapowiadała się jako wielki triumf lub całkowita katastrofa. Samuela nie znosiła połowicznych rozwiązań. Dopiero po chwili dostrzegła Riley i przywitała się z nią.

Riley poszła do swojego pokoju. Podniosła z podłogi piżamę i odłożyła na łóżko. Dzisiejszego ranka trochę zasnęła, a nie chciała spóźnić się na zajęcia na uczelni.

Zamknęła drzwi od szafy i przejrzała się w lustrze. Widok nie był zachwycający. Zdjęła t-shirt i legginsy i wrzuciła je do kosza z brudnymi rzeczami. Wyciągnęła z szuflady nową parę szortów i koszulkę, po czym wyszła do łazienki, żeby się odświeżyć.

Curry Samuela okazało się katastrofą. Było tak pikantne, że niemal nie do jedzenia. Samuela, bliska załamania, przeproszała wszystkich, toteż całe towarzystwo starało się pocieszyć nieszczęsną kucharkę. Wszyscy solidarnie poprosili o dokładkę, lecz przez całą noc nieustannie ktoś chodził do łazienki. Riley, która miała pokój za ścianą, bez przerwy się budziła. Gdy zadzwonił budzik, półprzytomna poszła do łazienki i wzięła zimny prysznic. Potem wyjęła z szafy

elegancką, ciemnozieloną sukienkę. Do tego o ton ciemniejszy blezer, kupiony na lotnisku w Singapurze. No i wreszcie buty na obcasie, które dodawały jej kilka centymetrów.

Pod domem Benedicta Falknera znalazła się dziesięć minut przed czasem. Gdy przejrzała się w lusterku, aż jęknęła. Była dzisiaj jeszcze bledsza niż zazwyczaj, piegi na nosie wydawały się natomiast większe i wyraźniejsze. Z włosami zaczesanymi do tyłu jej twarz zdawała się chuda, a sińce pod oczami nie dodawały uroku. Ze złością ściągnęła gumkę z włosów. Ciągle jeszcze studiowała swe odbicie, gdy otworzyły się drzwi od strony pasażera.

- Długo na mnie czekasz? - zapytał Benedict Falkner, wsiadając do auta.

- Nie, przyjechałam trochę wcześniej - przyznała.

- Dokąd się dziś wybierasz? - spytał, patrząc wymownie na jej elegancki strój.

- Idę na rozmowę w sprawie pracy - odparła i wrzuciła jedynkę.

- Jakiej pracy szukasz?

- Jakiegokolwiek - odpowiedziała zgodnie z prawdą. - Najlepiej dobrze płatnej.

- Jesteś chyba artystką...

- Artystką?

- Wydaje mi się, że wczoraj zauważyłem na twoim policzku smugę farby.

- Artysta, który zrobił tę plamę, ma trzy lata. Nie mógł podjąć decyzji, czy chce pomalować mnie, swoje ubranko, czy kartkę papieru - wyjaśniła ze śmiechem.

- Jesteś zameżna?

- Nie - odparła, trochę zaskoczona tym pytaniem, chociaż po chwili przypomniała sobie, że wczoraj ona też zadała Benedictowi takie osobiste pytanie.



Nagle zza zakrętu wypadł, wcale nie zwalniając, jakiś samochód. Riley natychmiast wcisnęła hamulec, samochodem szarpnęło.

- Przepraszam - powiedziała Riley, gdy niebezpieczeństwo minęło.

- Nie ma za co, to wina tego bęcwała - stwierdził Benedict spokojnie.

- No cóż, idiotów nie sieją - mruknęła i dodała: - Tylko nic mi nie mów o kobietach za kierownicą.

- No co ty - powiedział Benedict, przeglądając gazetę. - Więc jak ma na imię ten trzyletni artysta? - spytał nieoczekiwanie.

- Tamati. Jest słodkim chłopcem - uśmiechnęła się Riley.  
- Ale potrafi być diabełkiem, gdy zaczyna się nudzić.

- Tamati... - powtórzył Benedict. - Jest Maorysem?

- Jego ojciec jest Maorysem.

Na tym urwała się rozmowa. Riley skupiła się na drodze, Benedict pograżył się w lekturze gazety.

- Potrzebny ci ten dodatek o pracy? - spytała Riley.

- Nie, możesz zatrzymać gazetę, już przeczytałem.

- Dziękuję - odparła. - Przyjechać po ciebie o wpół do szóstej, tak?

- Naprawdę nie musisz.

- Wiesz, że mi głupio z powodu twojego samochodu, a nie mam pieniędzy na jego naprawę.

- W takim razie jesteśmy umówieni - zakończył temat Benedict. - Skoro nalegasz...

Po południu Riley przyjechała po Benedicta punktualnie. Zdążyła przebrać się w dżinsy i podkoszulek. Ledwo ruszyli, Benedict otworzył teczkę, wyciągnął papiery i zaczął nanosić poprawki. Nie przeszkadzało to Riley, a nawet ją rozbawiło.

- Czym właściwie się zajmujesz? - zapytała z nie ukrywaną ciekawością.

- Telekomunikacją i elektroniką - odparł lakonicznie, nie podnosząc wzroku znad papierów. - Importujemy części z Dalekiego Wschodu i budujemy sieci teleinformatyczne.

- Komputery?

- Automatyka przemysłowa i systemy komunikacyjne. Nie składamy komputerów osobistych.

- A ty jesteś dyrektorem wykonawczym?

- Niezupełnie, choć kiedy jest się właścicielem firmy, można sobie nadać dowolny tytuł - powiedział, nadal nanosząc poprawki.

- Czy to rodzinny interes?

- Tak, tyle że ja jestem rodziną jednoosobową...

- Odziedziczyłeś firmę?

- Nie, zacząłem od zera.

Przecież musi mieć jakąś rodzinę, pomyślała. Przyjrzała mu się ukradkiem i doszła do wniosku, że rzeczywiście Benedict po bliższych oględzinach nie sprawia wrażenia rozpuszczonego i zepsutego bogactwem mężczyzny. Wydawał się nieco oschły, wyczuwało się jednak jego silną osobowość.

- Jak udało ci się osiągnąć sukces? - zapytała.

- Uczciwie pracowałem, wiedziałem, co chcę osiągnąć, i nie pozwoliłem, aby ktokolwiek mi w tym przeszkodził.

- A czego chciałeś?

- Zostać milionerem przed trzydziestką - odpowiedział spokojnie.

- Kiedy to sobie postanowiłeś? - spytała.

- Gdy miałem osiemnaście lat - odparł oschle.

- Ja w wieku osiemnastu lat nie wiedziałam, czego chcę - mruknęła.

Przypomniała sobie dom rodzinny. Pomyślała o nadopiekuńczej matce i o marzeniu, by jak najszybciej stanąć na własnych nogach. Dopiero teraz, po przyjeździe do Nowej Zelandii, udało jej się zrealizować ten cel.

- A czym się teraz zajmujesz? - spytał Benedict.

- Studiuję anglistykę, chcę uczyć Obcokrajowców angielskiego - odpowiedziała.

Była dumna, że ma pomysł na życie. Wybrała taki zawód, by spotykać jak najwięcej interesujących ludzi.

- Nie powiedziałaś mi, że studiujesz.

- Bo nie pytałeś - odparła z lekkim przekąsem. - Byłeś bardziej zainteresowany, czy dobrze zarabiam i mogę pokryć koszty naprawy twojego samochodu.

- W takim razie jesteś bardzo zajęta osobą. Studia, praca na pół etatu - stwierdził, słowem nie reagując na jej zaczepkę.

Zadzwoił telefon komórkowy.

- Falkner, słucham - powiedział do aparatu. - O rany... To gdzie ona teraz jest? Powiedz jej, żeby się niczym nie martwiła, a jak będzie czegoś potrzebowała, niech się odezwie. - Zapisał coś na kartce papieru. - Podaj mi jeszcze adres. Dzięki, że zadzwoniłaś.

- Coś się stało? - spytała Riley.

- Moja gospodyni miała wypadek. Dzwoniła jej córka.

- Coś poważnego? - dopytywała się zaniepokojona Riley.

- Rozcięła sobie głowę, uderzając o parapet. Założyli jej kilka szwów, ale obawiają się wstrząśnienia mózgu.

- Ojej - zmartwiła się Riley. - Zawieźć cię do szpitala? Chcesz ją odwiedzić?

- Nie, wpadnę tam jutro. - Benedict potarł policzek i zamruczał coś, czego nie zrozumiała. - Przepraszam - dodał po chwili, po czym wyjął telefon i wystukał numer. Z krótkiej rozmowy Riley wywnioskowała, że zamówił dla chorej kwiaty.

- Chyba się lubicie. Długo u ciebie pracuje?

- Od czterech lat. Mogę na niej polegać, a w dodatku rewelacyjnie gotuje... Cholera!

- Cholera? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Spodziewam się dziś gości na kolacji. Skoro pani Hardy jest w szpitalu, powinienem jak najszybciej zadzwonić do firmy cateringowej. A może lepiej zarezerwować stół w restauracji?

- A co z jedzeniem, które przygotowywała wcześniej gospodyni?

- Jeśli nie da się go zamrozić, będę musiał wyrzucić - odparł lekko zniecierpliwionym tonem.

- Szkoda! Taka strata... Ilu gości się spodziewasz?

- Siedmiu.

- Pewnie nie umiesz gotować?

- Nie na tyle dobrze, by przygotować wystawną kolację. - Złożył papiery i schował do teczek, po czym pograżył się w głębokiej zadumie.

Gdy znaleźli się pod domem, zaproponował:

- A może zabierzesz część jedzenia?

- Co za wspaniałomyślność.

- Nie bądź sarkastyczna, ja też nie lubię wyrzucać żywności.

Wysiedli z samochodu. Riley pomaszerowała za Benedictem zwirową alejką, biegnącą wśród idealnie przystrzyżonych krzewów. Po chwili znaleźli się przed podjazdem tak rozległym, że mógłby pomieścić tuzin samochodów. Benedict wystukał kod i przepuścił Riley przodem.

- Kuchnia jest tam. - Wskazał kierunek ręką, odstawił teczkę i poprowadził Riley długim, wyłożonym marmurem korytarzem. W kuchni jej uwagę przykuły supernowoczesne, wykonane z nierdzewnej stali sprzęty, jasnoszara glazura na ścianach i olbrzymi kuchenny stół nakryty białym obrusem. Wszystko w najlepszym guście. Na ladzie stały liczne naczynia, wszystkie porządnie przykryte czystymi ściereczkami.

- Zobaczmy, co da się zrobić... - Benedict zaczął przeglądać książkę telefoniczną.

Riley zajrzała pod ściereczki. Talerz owoców, miska mąki, trzy gomółki sera.

- Zajrzyj do lodówki i do spiżarni. Jeśli uznasz, że cokolwiek ci się przyda... Tak? - rzucił do słuchawki. - Czy możecie państwo zorganizować na dziś wieczór przyjęcie dla siedmiu osób?

Riley przeszła do olbrzymiej spiżarni. Wzięła z półki kilka plastikowych pojemników i wróciła do kuchni. W lodówce znalazła kurczaka w ziołowej zalewie, ostrygi, łososia obłożonego plasterkami cytryny, owoce morza.

- Tak, chodzi o dzisiejszy wieczór... - Benedict dzwonił do kolejnej firmy. - Nic z tego? Trudno, dziękuję.

- Posłuchaj, a może ja spróbuję coś przygotować... - rzuciła Riley lekkim, nonszalanckim tonem.

- Ty? - Był najwyraźniej zdumiony.

- Potrafię gotować, zapytaj moich znajomych, z którymi dzielę mieszkanie.

- Jednak przygotowanie uroczystej kolacji to nie to samo.

- Wiem, ale potrafię przyrządzić wykwintne danie. Obejrzałam wszystkie produkty i wiem, co zamierzała ugotować pani...

- Hardy - odpowiedział machinalnie. - Tyle że ta kolacja jest dla mnie naprawdę ważna, więc nie sądzę...

- Pracowałam kiedyś w restauracji - przerwała mu. Co prawda tylko przyrządzała sałatki, ale chwalono ją za fantazję i zręczność. - Powiedzmy, że odpracuję w ten sposób część sumy, którą jestem ci winna za naprawę twojego auta. Jeśli nie będziesz zadowolony, po prostu mi nie zapłacisz, czy też raczej nadal będę ci winna całą kwotę. Życzysz sobie, bym także podawała do stołu?

- Pani Hardy zazwyczaj to robiła, ale...

- No to umowa stoi. Oczywiście nie będę paradowała po jadalni w starych dżinsach - pospieszyła z zapewnieniem, widząc jego niewyraźną minę. - W samochodzie mam porządne ciuchy. A teraz pokaż mi, gdzie jest jadalnia. Muszę sprawdzić, czy twoja gospodyni zdążyła nakryć do stołu.

- Nie masz dzisiaj żadnych zobowiązań? A co z twoimi...

- Jeśli pozwolisz mi skorzystać z telefonu, po prostu uprzedzę moich współlokatorów, że wrócę dzisiaj później. - Ruszyła w stronę aparatu.

- Nie musisz niczego odwoływać?

- To chyba mój problem, prawda? - Uśmiechnęła się do mego. - Ale wiesz co, skoro tak się o mnie martwisz, to przynieś mi z samochodu torbę z ciuchami. Leży na tylnym siedzeniu. - Poklepała go po ramieniu i podała mu kluczyki.

Benedict spojrział na nią zdumiony, po czym bez słowa wyszedł.

Gdy wrócił, właśnie kończyła rozmowę.

- Przepraszam, potraktowałam cię jak kolegę, a nie jak pracodawcę.

- Dzwoniłaś do domu?

- Tak. Wiesz, mamy dyżury i codziennie ktoś inny przyrządza kolację. Dziś kolej Harry'ego, a on i tak zawsze zamawia coś gotowego. Nawet się ucieszył, bo skoro mnie nie będzie, to zaoszczędzi trochę forsy.

- Chyba wygodnie jest mieszkać z przyjaciółmi.

- Owszem - odparła pospiesznie i sięgnęła do torby po ubranie. Tak naprawdę nigdy nie było jej stać na wynajęcie samodzielnego mieszkania. - Będę mogła pożyczyć żelazko, prawda?

- Oczywiście, nie przejmuj się tak. Jestem pewien, że i tak będziesz wyglądać szalowo... Żelazko jest w garderobie, zaraz przyniosę.

Riley odniosła wrażenie, że Ben nadal nie jest pewien, czy podjął właściwą decyzję. Postanowiła wziąć sprawy we własne ręce.

- Nie, nie trzeba. Sama po nie pójde. Powiedz tylko, gdzie jest garderoba..

- Korytarzem do końca, ostatnie drzwi po lewej - odpowiedział trochę nieprzytomnie.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Riley zostawiła Benedicta w jadalni zajętego rozkładaniem talerzy i sztućców. Gdy wrócił do kuchni, kroił cebulę.

- Pomyślałam, że na przystawkę podam ostrygi i sałatkę z owoców morza.

- Brzmi zachęcająco.

- A co z winem?

- Ja się tym zajmę - obiecał Benedict.

- Kieliszki... - przypomniała. - Nie wiem, gdzie są, w kuchni nie mogłam ich znaleźć.

- Już je postawiłem na stole, trzymamy je w kredensie w jadalni - poinformował ją. - Czy mogę ci jeszcze jakoś pomóc?

- Hm... - Z jakiegoś powodu straciła wcześniejszą pewność siebie. - Mógłbyś przynieść ze spiżarni puszkę mleka kokosowego. Nie mogę dosięgnąć.

- A gdzie dokładnie stoi?

- Pokażę ci. - Zaprowadziła go do spiżarni i wskazała najwyższą półkę.

- Jedna wystarczy? - Gdy przypadkiem musnął ramię Riley, odruchowo cofnęła się.

- Dzięki. - Nagle wydało jej się, że oczy Bena nabrały dziwnego blasku. - O co ci chodzi? - spytała niepewnie.

- Uwierz, że wolałabyś nie wiedzieć - odparł enigmatycznie. - Czy mogę ci w czymś jeszcze pomóc? - pospiesznie zmienił temat.

Przez następne pół godziny Benedict kroił, szatkował, tarł i mieszał, zgodnie z zaleceniami Riley. Gdy kuchnię wypełniły cudowne zapachy, a Riley zajęła się zmywaniem, spojrzął na zegarek.

- Co pozostało do zrobienia? - zapytał. - A przy okazji, nie musisz się męczyć, jest zmywarka do naczyń.



- Te wszystkie miski zajmują mnóstwo miejsca, a ja uporam się z nimi w pięć minut.

- Jak sobie chcesz. Ja w każdym razie idę na górę się przebrać, ty natomiast masz do swej dyspozycji łazienkę na dole. Jest za garderobą.

- Dziękuję, zaraz się sobą zajmę, tylko skończę zmywać. Aha, chcesz, żebym otwierała gościom?

- Nie, skoncentruj się na kolacji.

Gdy poszedł na górę, rzuciła jeszcze okiem na stół, po czym wyprasowała spódnicę i bluzkę, a następnie wzięła szybki prysznic w niedużej, wyłożonej marmurem' łazience. Wyszczotkowała włosy, upięła je w schludny kok i wróciła. Wzięła jeszcze tylko świeże ręczniki do rąk dla gości i pobiegła do kuchni. Założyła długi, sięgający jej za kolana fartuch i zajęła się układaniem ostryg.

Benedict zjawił się po chwili, ubrany w kremową koszulę i ciemnoczerwoną, tweedową marynarkę. Wyglądał olśniewająco. Spojrzał na Riley. W skupieniu przystrajała półmisek z ostrygami natką pietruszki i plasterkami cytryny.

- Naprawdę nieźle sobie radzisz - pochwalił ją. - Mówiłaś, że pracowałaś w restauracji. Ciekaw jestem gdzie?

- W Nowym Jorku, w Anglii, a ostatnio tutaj.

- Długo byłaś w Stanach? Mówisz z lekkim amerykańskim akcentem.

- Skończyłam tam szkołę średnią i college. Urodziłam się w Nowej Zelandii, ale moi rodzice są Amerykanami. Tata przez pewien czas prowadził tu badania naukowe. Możesz podać mi nóż?

- Wyglądasz jak mała dziewczynka ubrana w fartuch matki.

- W takim razie poproszę cię o jeszcze jedno. Czy mógłbyś mocniej związać fartuch w pasie? Mam brudne ręce...

Stanąła do niego tyłem i odwróciła głowę. Gdy ściągał troczki, poczuła na karku jego oddech.

- W porządku?

- Tak, dzięki. Przygotowałam też tartinki. Czy chcesz, bym je podała natychmiast po przyjściu gości?

- Zaniosę je od razu. Goście mogą się zjawić lada chwila.

Przez następne pół godziny dzwonek do drzwi dźwięczał trzy razy. Riley słyszała głosy przybywających, które cichły, gdy goście przechodzili do jadalni.

Po chwili w drzwiach kuchni stanął Benedict.

- Kiedy możemy zacząć? - zapytał.

- Za kwadrans, dobrze?

- Dobrze - odparł Benedict, wyjął z lodówki dwie butelki białego wina i wyszedł do jadalni.

Dokładnie po kwadransie Riley zdjęła fartuch i wniosła do jadalni półmisek z ostrygami i sałatkę z owoców morza. Potem postawiła na stole dwa srebrne koszyki z pieczywem.

Goście zasiedli wokół stołu. Benedict napełnił kieliszki winem. Pierwszy podał przystojnej, błękitnookiej blondynce. Riley zauważyła, że kobieta nie spuszcza oczu z pana domu i najżywiej ze wszystkich reaguje na jego dowcipy i anegdoty. Blondynka miała wydatne, zmysłowe usta i kształtny biust. Jej na pozór szalenie skromna sukienka musiała kosztować fortunę.

Riley natychmiast poczuła niechęć do wysokiej i zgrabnej nieznajomej. Ta tyka jest chyba wyższa od Benedicta, pomyślała z mściwą satysfakcją. Rozejrzała się dyskretnie i odstąpiła od stołu.

- Dziękuję, Riley. - Benedict posłał jej konspiracyjny uśmiech.

- A co się stało z panią Hardy? - Uszu Riley dobiegł matowy, kobiecy głos. Głos osoby, która z pewnością

kształciła się w najlepszych szkołach. No tak, ta blondynka ma zapewne bardzo bogatych rodziców...

Gdy po kilkunastu minutach Riley wniosła kolejne danie, starała się omijać wzrokiem zarówno Benedicta, jak i niesympatyczną blondynkę. Przyjrzała się natomiast pozostałym gościom. Para w średnim wieku i para trzydziestolatków. Krążąc między kuchnią a jadalnią, słyszała strzępki rozmów toczonych przy stole. Już po chwili wiedziała, że małżeństwo w średnim wieku to rodzice blondynki, a ich pretensjonalna córka ma na imię Tiffany. Benedicta łączyły z tą rodziną jakieś interesy. Druga, młodsza para była zaprzyjaźniona z panem domu. Wyglądali na nieźle sytuowanych i zadowolonych z życia ludzi.

Podając deser własnego pomysłu, Riley stanęła przy krześle Benedicta.

- Czy podać kawę tutaj? - spytała grzecznie.

- Chodźmy na taras! - zawołała Tiffany. - Jest taki cudowny, ciepły wieczór!

- W takim razie na tarasie - zdecydował Benedict. Riley zajęła się zbieraniem talerzy, gdy nieoczekiwanie podeszła do niej Tiffany.

- Chętnie ci pomogę - zaproponowała. - Przepyszna kolacja, a deser był po prostu wspaniały, choć to zabójstwo dla mojej figury...

- Dzięki - odparła Riley. Do licha, dodała w duchu, ta blondynka jest nie tylko atrakcyjna, ale też niezwykle miła.

- Pewnie nie zdradzisz mi przepisu? - zapytała Tiffany z uśmiechem.

- Dlaczego nie? - zdziwiła się Riley. - Chcesz zapisać czy zapamiętasz?

- Zapamiętam - odparła Tiffany, a gdy Riley podała jej przepis, wspólnie podały pozostałym gościom kawę.

Riley zajęła się sprzątaniami po kolacji. Po chwili w kuchni znów pojawiła się Tiffany, pochwyciła dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą i bez słowa pobięła z nim na werandę.

Ona tu się czuje jak u siebie w domu, skonstatowała w myślach Riley. Zapewne jest dziewczyną Benedicta.

Nagle poczuła się nieludzko wprost zmęczona. A gdyby tak wymknąć się po cichu? Bóg raczy wiedzieć, o której goście Benedicta zaczną zbierać się do wyjścia.

Po chwili usłyszała szmer rozmów i odgłos zamykanych drzwi. Gdy nalewała sobie kawy, do kuchni wkroczył Benedict z tacą pełną filiżanek.

- Mam to pozmywać? - spytała.

- Nie, dość się dziś napracowałam. A swoją drogą, miałaś czas, żeby wrzucić coś na ząb?

- Zjadłam trochę sałatki, a teraz marzę o kawie - odparła.

- Chętnie napiję się z tobą.

- Goście już wyszli?

- Tak, wszyscy - odparł i usiadł obok niej.

- Jesteś... hm... zadowolony? - spytała niepewnie.

- Całkowicie. - Benedict uśmiechnął się do niej. - Goście byli pod wrażeniem, zresztą ja też...

- No to przynajmniej spłaciłam część długu. A skoro o tym mowa, o której mam po ciebie jutro przyjechać?

- Zorganizuję sobie inny transport, ty musisz odpocząć.

- Przecież obiecałam, że będę cię podwozić, dopóki twój samochód nie wróci z naprawy.

- Zawsze dotrzymujesz wszystkich obietnic?

- Tak.

- Ja też staram się dotrzymywać obietnic.

- Miła jest ta twoja dziewczyna...

- Moja dziewczyna? - zdziwił się Benedict.

- To Tiffany nie jest twoją dziewczyną? - drażyła temat Riley.

- Jeszcze nie - odparł krótko.

Riley nie wiedziała, co się z nią dzieje. Nagle poczuła się bardzo dziwnie. Serce zaczęło jej bić o wiele szybciej, przeszyły ją gwałtowne dreszcze. Przełknęła ślinę, upiła łyk kawy i powoli doszła do siebie.

- Ale lubisz ją? - wróciła po chwili krępującej ciszy do interesującego ją tematu.

- Tak, nawet bardzo - odparł, chociaż nie było to do końca zgodne z prawdą.

- Przepraszam, że tak cię wypytuję - szepnęła Riley - ale zauważyłam, że Tiffany czuje się tu bardzo swobodnie. No i... jest bardzo ładna.

- Owszem - potwierdził Benedict. - Tiffany odwiedza mnie od czasu do czasu.

Swój do swego ciągnie, pomyślała Riley. Piękni i bardzo bogaci...

- Zostało dużo jedzenia - stwierdziła po chwili. - Schowam wszystko do lodówki, szkoda, żeby się zmarnowało.

- Możesz wszystko zabrać - odparł Benedict.

- Dziękuję. - Dopiła szybko kawę i zaczęła się zbierać. - Włóżysz naczynia do zmywarki? - upewniła się.

- Oczywiście. Może zamówię ci taksówkę? - zaproponował Benedict. - Wyglądasz na zmęczoną.

- Jeszcze mam siłę, aby prowadzić - odparła z naciskiem.

Benedict odprowadził ją do samochodu, Riley dojechała bezpiecznie do domu, choć przez całą drogę nie mogła się uwolnić od natrętnych, niezbyt przyjemnych myśli.

Kiedy następnego ranka wstała z łóżka i spojrzała w lustro, aż jęknęła. Włożyła najlepsze dzinsy i obcisły top. Pomalowała usta, ale efekt był żalospny, toteż ze złością starła

pomadkę. Wyszczotkowała włosy, spięła je wielką kłamrą w kształcie motyla i wyszła z domu.

Do domu Benedicta weszła z dwoma pojemnikami pod pachą, do których poprzedniego dnia przełożyła resztki kolacji.

- Mam to zanieść do kuchni? - spytała.

- Nie, zostaw w przedpokoju przy telefonie - odparł, a Riley zorientowała się, że Benedict bardzo się spieszy.

Gdy znaleźli się w samochodzie, natychmiast wyjął gazetę i pogрузił się w lekturze. Riley zrobiło się przykro. Wczoraj wieczorem rozmawiali ze sobą, żartowali. Benedict pomógł jej przy przyrządzaniu kolacji. Teraz natomiast zachowywał się z dystansem, jakby żałował wczorajszej poufałości.

Co mnie napadło, skarciła się w myślach. Sama zaproponowałam, że będę go wozić do pracy i przygotuję kolację. Tylko w ten sposób mogę spłacić dług. .

- Jak się czuje pani Hardy?

- Wypisano ją już ze szpitala. Jest u córki i czuje się podobno znacznie lepiej.

I pewnie wkrótce wróci do pracy, dokończyła w myślach Riley. Chwilę później zaparkowała samochód pod biurem Benedicta.

- Dziękuję za podwiezienie. - Benedict odpiął pasy i złożył gazetę. - Jeśli chcesz, możesz ją wziąć. - Wskazał na przeczytany dziennik. - I jeszcze raz dziękuję ci za wczorajszy wieczór. Wybawiłaś mnie z opresji.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Rozumiem, że dziś nie będę ci potrzebna...

Benedict uniósł ze zdumienia brwi.

- Chciałam zapytać, czy mam cię odebrać z pracy - wyjaśniła pospiesznie.

- Nie, nie będziesz mi już potrzebna - odparł nieobecny głosem.

- W takim razie przyślij mi rachunek za naprawę twojego samochodu, będę spłacać w ratach. Honorarium za urządzenie przyjęcia ustal według własnego uznania. I na koniec chcę ci podziękować, że tak bardzo poszedłeś mi na rękę. Do widzenia.

- Do widzenia. - Nieoczekiwanie przechylił głowę i ich usta spotkały się. Nie był to długi pocałunek, raczej muśnięcie. Po chwili Benedict odsunął się, podniósł teczkę i wysiadł.

Przez krótki moment Riley siedziała zupełnie nieruchomo, kompletnie oszołomiona. Po paru sekundach doszła jednak do wniosku, że nie stało się nic niezwykłego. Oto Benedict pożegnał się z nią niewinnym; niemal braterskim pocałunkiem. Naprawdę nic szczególnego.

Jednak usta jej drżały, nie mogła uspokoić oddechu.

Do licha, Benedict Falkner rzeczywiście jest niezwykle atrakcyjnym facetem, pytanie tylko, czy wie, jaki oszałamiający wpływ wywiera na kobiety.

Pewnie tak, bo nie można mu było zarzucić nieśmiałości. Powiedział przecież, że Tiffany jeszcze nie jest jego dziewczyną, a zatem spodziewał się bez większego wysiłku zdobyć jej serce.

Wspomnienie Tiffany sprawiło, że Riley wróciła do rzeczywistości. Przy pięknej blondynce czuła się jak szara myszka.

Owszem, dziś rano Benedict obrzucił ją spojrzeniem pełnym uznania, a potem pocałował, ale to przecież o niczym nie świadczy. Może i dostrzegł w niej atrakcyjną kobietę, lecz nie wykazał większego zainteresowania jej osobą.

Hm, trzeba będzie zapomnieć o panu Falknerze, a zresztą i on wkrótce zapomni o dziewczynie, która uszkodziła lakier jego drogiego samochodu.

Podczas weekendu Harry opiekował się roczną córeczką Rosalitą. Mała była śliczna. Miała pyzată buzię, bardzo ciemne, prawie czarne oczy i karminowe usteczka. Harry świata poza nią nie widział, a i pozostali mieszkańcy domu przepadali za Rosalitą.

W sobotni ranek Tom zajął się koszeniem trawnika, Riley, Lin i Harry zabrali się za zmywanie, zaś Samuela krążyła po domu z odkurzaczem.

Gdy Rosalitą zainteresowała się słoikami na półce, Riley chwyciła dziecko, by odwrócić jego uwagę.

- Gdybyś popiłnowała małej, skończylibyśmy szybciej zmywanie - powiedział Harry.

Riley poszła z dziewczynką do pokoju Harry'ego. Znalazła dużą, kolorową piłkę, pchnęła ją w stronę dziecka. Rosalitą właśnie zaczynała chodzić, ale nadal szybciej poruszała się raczkując, więc Riley, niewiele myśląc, również opadła na czworaki. Zadzwoił dzwonek, toteż wzięła dziecko na ręce i poszła otworzyć. Mała, zła z powodu przerwanej zabawy, zanosła się płaczem.

- Dzień dobry, Riley - odezwał się stojący w progu Benedict.

Cholera, miała na sobie stare, powyciągane ciuchy, a jej fryzura, pozostawiała wiele do życzenia.

- Cześć - szepnęła.

- Pan! - zawołała Rosalita, wskazując pulchnym paluszkiem na Benedicta.

- Tak, masz rację - roześmiała się Riley, po czym zwróciła się do gościa: - A to jest Rosalita. Proszę, wejdź.

Rosalita natomiast włożyła sobie do buzi włosy Riley i zaczęła je pracowicie przeżuwać. Riley delikatnym, lecz stanowczym ruchem wyjęła włosy z ust dziecka, jednocześnie spoglądając na Bena. Na jego twarzy nie malowały się żadne emocje. Czyżby nie lubił dzieci?



- Ja... to znaczy... coś ci przyniosłem - powiedział z wahaniem i wyciągnął z kieszeni kopertę.

Do holu wszedł Harry.

- Tata! - zawołało dziecko, jakby nie widziało ojca od tygodnia.

- Bardzo dobrze, wracaj do tatusia - stwierdziła Riley, pocałowała dziewczynkę w czubek głowy i podała ją Harry'emu.

- Cześć! - zawołała Samuela, przekrzykując warkot odkurzacza, gdyż właśnie zaczęła sprzątać hol.

- Proszę, wejdz dalej - powtórzyła Riley, uśmiechając się do Benedicta. - Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję - odparł.

Wskazała mu starą, wygodną sofę, a sama usiadła na fotelu obok. Otworzyła kopertę, którą jej wręczył. Wyjęła z niej fakturę, na której w poprzek widniał napis: „Zapłacono”, a pod spodem staranny, odręczny podpis: „B. Falkner”. Spod stolika wyskoczył nagle duży królik bez jednego ucha i pokicał w stronę okna.

- Twój dług jest w całości spłacony - wyjaśnił Benedict, próbując ukryć zaskoczenie. - Zorganizowanie takiego przyjęcia kosztowałoby mnie więcej niż naprawa auta.

- Na pewno? - Choć powinna odczuć ulgę, zrobiło jej się głupio. - Ile wyniósł rachunek z warsztatu? - Podejrzewała, że Benedict postanowił okazać wspaniałomyślność. - Ja naprawdę nie lubię mieć długów.

- Daj spokój, Riley. Wyświadczyłaś mi ogromną przysługę.

- W takim razie dziękuję - powiedziała cicho. Zaległa krępująca cisza.

- A więc tak mieszkasz... - mruknął Benedict i rozejrzał się po pokoju. Nie mógł nie dostrzec lichych mebli, staroświeckiego telewizora i dziwnej konstrukcji wykonanej z

desek i dwu drabin, służącej za regał, na którym zgromadzono eklektyczny zbiór książek wszystkich lokatorów.

- Nam się tu podoba - powiedziała Riley buńczucznie, świadoma kontrastu między tym lokum, a luksusową siedzibą gościa.

- Przecież nic nie mówię... - odparł. Nagle jego wzrok przykuł stojący w ogrodzie wielki gipsowy krasnal o wytrzeszczonych oczach i dziwnie pustym spojrzeniu.

- To Homer - wyjaśniła Riley. - Tom znalazł go na wysypisku śmieci i namówił nas, byśmy go zaadoptowali.

- Zrobiło mu się żal staruszka, tak? - Benedict postanowił dostroić się do żartobliwego tonu Riley.

- Tak. - Riley wzięła na ręce królika i zaczęła go delikatnie głaskać. - A jak się czuje pani Hardy?

Wzrok Benedicta spoczął na zwierzątku.

- To stworzenie niemal dorównuje ci wzrostem - stwierdził, po czym podniósł wzrok. - Pani Hardy czuje się dobrze, ale rzeczywiście doznała lekkiego wstrząśnienia mózgu i jej córka namówiła ją do rezygnacji z dalszej pracy.

- I jak sobie radzisz?

- Stołuję się w restauracjach, zatrudniłem sprzątaczkę na przychodne. Rozmawiałem z kilkoma paniami, które odpowiedziały na moje ogłoszenie, ale żadna nie przypadła mi do gustu.

- Jesteś wybredny, co?

- Chyba tak - odparł, po czym nagle wstał. - Pójdę już. Do widzenia.

- Riley... - Do pokoju zajrzała Lin. - Przepraszam, nie wiedziałam, że masz gościa. Gdzie podziewa się Rosalita?

- Harry ją zabrał - odpowiedziała Riley, a Lin zniknęła za drzwiami

- Nieźle wygląda ten Harry... - oznajmił niespodziewanie Benedict.

- Owszem - potwierdziła Riley. - Dorabia sobie nawet jako model. Trenuje też podnoszenie ciężarów.

- Gdy wspominałaś o współlokatorach, nie mówiłaś o... Nieważne, pora na mnie.

- Miło, że wpadłeś. Mogłeś wysłać rachunek pocztą. Potknął się o porzuconą w holu piłkę, która odbiła się od przeciwległej ściany. Riley zrobiła unik, lecz równocześnie wpadła na Benedicta.

Przytulił ją do siebie, splótł dłonie na jej plecach. Owionął ją zapach męskiej wody po goleniu. Riley na sekundę wstrzymała oddech...

Po chwili Ben wypuścił ją z objęć i pospiesznie ruszył do drzwi. Riley poszła za nim. Gdy postawił nogę na progu, skrzypnęła obluzowana deska, którą Tom obiecał naprawić dawno temu. Z okna pokoju Harry'ego dobiegł chichot dziecka, a po chwili niski męski śmiech.

Benedict odwrócił się, spojrzał badawczo na Riley i zapytał:

- Czy on jest również ojcem Tamatiego?

- Harry? - Riley ze zdumienia otworzyła buzię. - Jakim prawem mnie o to pytasz? - Była naprawdę oburzona.

- Wybacz, to rzeczywiście nie moja sprawa, ile masz dzieci i kto jest ich ojcem. Do widzenia, Riley.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Zbiegł do połowy schodów, nim Riley zdobyła się na jakąś reakcję.

- Benedict! - zawołała. Zatrzymał się i odwrócił głowę.

- Tak? - Zmrużył oczy.

- Te dzieci nie są moje - powiedziała. - Ja nie mam dzieci.

Pracuję w przedszkolu.

- Co? A Tamati? - zapytał z niedowierzaniem.

- To też mój podopieczny z przedszkola - wyjaśniła. - Nie wiem, po co ci to mówię.

- Tak, to nie moja sprawa - przyznał. - Przepraszam, że wyciągnąłem pochopne wnioski.

- Nie ma sprawy - odparła z uśmiechem. Benedict zawahał się, po chwili jednak zapytał:

- Kto zatem jest matką Rosality? - dociekał.

- Gdy Harry dowiedział się, że jego dziewczyna zaszła w ciążę, poprosił ją o rękę, lecz odmówiła. Pozostali przyjaciółmi, jednak mieszkają osobno.

- A ty?

- Co?

- Czy ty i Harry...

- Ależ skąd! - roześmiała się.

Włożył ręce do kieszeni i zaczął się kołysać na piętach. Odwrócił wzrok, jakby chciał naprędce znaleźć nowy temat do rozmowy. W końcu spojrział ponownie na Riley i zapytał:

- Nadal szukasz pracy?

Spoglądanie na mężczyznę z góry było dla niej zupełnie nowym doświadczeniem. Doszła do wniosku, że sprawia jej to olbrzymią przyjemność.

- Tak - odparta wreszcie. - Do tej pory mi się nie poszczęściło.

- W takim razie mam dla ciebie pewną propozycję.

- Propozycję?

- Czy chciałabyś objąć posadę zwolnioną przez panią Hardy?

- Ja? - spytała z niedowierzaniem.

- Mówiłaś, że przyjmiesz każdą pracę. Ale może prowadzenie domu to dla ciebie zbyt nudne i uciążliwe zajęcie?

- Nie mam wielkiego doświadczenia w tej dziedzinie, jednak chętnie spróbuję.

- Od czasu do czasu odwoziłabyś mnie i przywoziła. Dostrzegłem zalety posiadania kierowcy. Dzięki temu rano zyskuję dodatkowe pół godziny na przejrzenie papierów - wyjaśnił. - Proponuję ci również mieszkanie i wyżywienie. Miałabyś wolne dwa dni w tygodniu plus czas, w którym nie byłabyś mi potrzebna. Niekiedy jednak musiałabyś pracować nocą i podczas weekendów.

- A zwalniałbyś mnie na zajęcia na uczelni?

- Nie ma problemu, na pewno się dogadamy.

- Ile płacisz? - zapytała, starając się zachować zimną krew. Ta propozycja była zbyt piękna, by mogła być prawdziwa. Benedict najpewniej zaraz poda jakąś śmiesznie małą kwotę.

Gdy usłyszała jego odpowiedź, aż otworzyła usta ze zdumienia.

- Mieszkanie i wyżywienie za darmo, a w dodatku tyle pieniędzy? - Nie mogła wyjść z podziwu. Przez kilka sekund bezwiednie potrząsała głową.

- Z mojego doświadczenia wynika - Benedict roześmiał się - że ludzie pracują najlepiej, gdy są należycie opłacani. Jestem wymagającym pracodawcą, ale chyba sprawiedliwym.

- Zawahał się, po czym dodał beznamiętnym tonem: - Przemyśl to, a jak się zdecydujesz, daj znać, to pogadamy o szczegółach.

Kto by się długo zastanawiał? Praca wydawała się wprost wymarzona, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

- Czy w tym wszystkim kryje się jakiś haczyk? - Riley po prostu nie mogła uwierzyć we własne szczęście i weszła podstęp.

- Nie, skądże - zapewnił ją. - W moim domu są pomieszczenia dla gospodyni, właściwie osobne mieszkanie. Byłabyś całkowicie bezpieczna.

- Nie to miałam na myśli. - Spojrzała na niego zdziwiona. Pewnie, że byłaby bezpieczna, przecież miał swoją wspaniałą Tiffany. - Brzmi to fantastycznie, chyba nie będę się zbyt długo zastanawiać - powiedziała szczerze.

- Jeśli masz jakieś pytania, to zadzwoń. Podałem ci mój telefon, prawda? - spytał.

- Tak.

- No to na razie. - Odwrócił się i podszedł do samochodu zaparkowanego przed domem.

Riley odprowadziła go wzrokiem. Miała ochotę się uszczypnąć, by sprawdzić, czy to wszystko przypadkiem jej się nie śni.

Przyjaciele pomogli jej ułożyć listę pytań, które powinna zadać nowemu pracodawcy. Czy będzie miała miejsce parkingowe, co z wakacjami i zwolnieniami lekarskimi.

- Ale jemu nie chodzi o... no wiesz... - dociekała Lin na wpół żartobliwie, na wpół z troską. Leżały obie na łóżku Riley i pogryzały chipsy.

- Aż takiego szczęścia to ja znów nie mam - mruknęła Riley.

- A co, podoba ci się? Mówiłaś, że jest seksowny...

- Na pierwszy rzut oka - odpowiedziała ostrożnie Riley. W myśli dodała, że i na drugi, trzeci, czwarty, piąty... Poczowała lekki ucisk w żołądku. Głupio byłoby zaprzepaścić tak wspaniałą szansę tylko dlatego, że pracodawca jest jednym z

najseksowniejszych facetów, jakich kiedykolwiek spotkała. Była zła, bo czuła się jak nastolatka zadurzona w aktorze filmowym. - Mówiłam ci o Tiffany? - zwróciła się do Lin.

- Nie, a kto to? - spytała Lin.

Riley opowiedziała przyjaciółce o Tiffany.

- Mam nadzieję, że po kilku tygodniach wspólnego mieszkania Benedict przestanie mi się podobać. Każdy facet ci obrzydnie, jeśli musisz bez przerwy po nim sprzątać - podsumowała.

Benedict nie był pierwszym przystojnym facetem, którego poznała. Zazwyczaj nie traciła głowy na widok nawet najwspanialszych przedstawicieli brzydszej połowy ludzkości.

Tego wieczoru Riley zadzwoniła do Benedicta i uzyskała odpowiedzi na wszystkie interesujące ją pytania. Starła się ignorować fakt, że jego głos brzmiał uwodzicielsko słodko.

- Możesz wybrać dwa dowolne dni w tygodniu - powiedział Benedict. - Pani Hardy miała wolne niedziele i wtorki. Prosiłbym cię tylko, żebyś była elastyczna, bo czasem weekendy bywają dość męczące, urządzam przyjęcia... Tak, możesz oczywiście parkować samochód w garażu i będziesz miała trzy tygodnie urlopu.

Riley wyobraziła sobie swojego starego forda zaparkowanego obok błyszczącego bmw i zachciało jej się śmiać. Ciekawe, Benedict słowem nie napomknął o ostrożnym parkowaniu...

- Czy będę musiała paradować w jakimś mundurku? - zadała ostatnie pytanie z listy.

- To co miałaś na sobie ostatniego wieczoru, bardzo mi się podobało. - Benedict roześmiał się. - Możesz nosić, co chcesz. Oczywiście na przyjęciu obowiązuje bardziej elegancki strój, Co jeszcze chciałabyś wiedzieć?

- Może pokażę ci moje referencje? - spytała.

- Chętnie rzucę na nie okiem. Przyjdź jutro wieczorem, obejrzysz dom, a ja przeczytam referencje.

Otworzył jej, ubrany w dżinsową koszulę z zawiniętymi rękawami i czarne, sportowe spodnie. Miał lekko zmierzwiłone włosy, co nadawało jego twarzy chłopięcy wygląd.

- Cześć - uśmiechnął się.

Odpowiedziała nieco powściągliwie, bo za taki uśmiech gotowa była natychmiast oddać mu serce. Zaprowadził ją do dużego, jasnego pokoju z wbudowanymi regałami. Pod ścianą stało duże dębowe biurko, a pod oknem bujany fotel. Z okna rozciągał się widok na ogród. Wyłożona kamieniami ścieżka wiodła wśród przystrzyżonych krzewów do altany otoczonej drzewami i obrośniętej winoroślą.

Benedict przysunął jej krzesło, a sam usiadł na krawędzi biurka. Riley wyjęła plik kartek z torby.

- Podejrzewam, że bardziej cię zainteresują referencje od tutejszych pracodawców, ale na wszelki wypadek wzięłam wszystkie - powiedziała.

Benedict przerzucił je pospiesznie i prawie natychmiast oddał Riley. Spojrzała na niego lekko zdziwiona.

- Wszędzie piszą, że łatwo nawiązujesz kontakty i jesteś bardzo towarzyska. Nie będzie ci tu smutno? - spytał.

- W wolne dni będę się spotykała z przyjaciółmi... A poza tym, czy mogłabym ich tu... to znaczy do tej części, gdzie będę mieszkać... zaprosić?

- Oczywiście - odparł chłodno. - To nie moja sprawa, w jaki sposób będziesz spędzać wolny czas. - Przy twoich pokojach jest patio z wyjściem na ulicę. Drugie wejście jest przez kuchnię, chodź, pokażę ci teraz, gdzie będziesz mieszkać.

Dwa pokoje, do których ją wprowadził, nie były wielkie, ale bardzo przytulne i ładnie urządzone. W sypialni stały dwa pojedyncze łóżka, duża, piękna toaletka i obszerna szafa na



ubrania. No i niewielka łazienka, w oczach Riley - prawdziwy luksus. Nigdy więcej porannych kolejek, walenia w drzwi i szumu prehistorycznych rur...

- Tę sofę można rozłożyć - powiedział Benedict, gdy przeszli do saloniku. - Pani Hardy lokowała tutaj swoje wnuczeta, gdy ją czasami odwiedzały. Mam nadzieję, że odpowiada ci to mieszkanko?

- Tak, jest bardzo fajne - przyznała.

- No to chodź, oprowadzę cię - zaproponował i pokazał jej wszystkie zakątki swego ogromnego, pięknego domu. - Przez większość czasu mieszkam tu sam - powiedział. - Czasem tylko ktoś u mnie nocuje.

Riley nie miała wątpliwości, co to za goście.

- A kto zajmuje się ogrodem? - spytała.

- Raz w tygodniu przychodzi ogrodnik. Ja sam czasem przycinam krzewy, ale ostatnio brakuje mi czasu - odparł. - Ale tym się nie przejmuj, będziesz zajmowała się wyłącznie prowadzeniem domu.

Zeszli na parter.

- Kiedy możesz zacząć pracę? - zapytał Benedict.

- W przedszkolu mam dwutygodniowy okres wypowiedzenia, ale teraz mają za dużo pracowników, więc myślę, że mogę zacząć nawet jutro - odparta. - Tylko będę musiała przez te dwa tygodnie wpadać od czasu do czasu do przedszkola.

Świetnie. - Benedict wyraźnie się ucieszył. - Na środę jestem umówiony z klientem i jego żoną na kolację w restauracji, ale gdybyś mogła przygotować coś pysznego w domu, byłoby znakomicie.

- Dobrze, zdążę wszystko zrobić po powrocie z przedszkola - powiedziała. - Poza tym trochę posprzątam. Dobrze?

- W takim razie ja przygotuję umowę i dam ci klucze - odparł. - Aha, jeszcze jedno... Wtorkowe wieczory spędzam poza domem - zakończył rozmowę.

Riley zapakowała swoje rzeczy osobiste i czekała na firmę przewozową. Miała nadzieję, że kupią od niej szafę i łóżko, które nie były jej potrzebne w nowym miejscu.

- O rany! - zawołał Tom, stawiając paczki ze sprzętem grającym na stoliku w nowym salonie Riley. - Super!

- Gdzie mam to postawić? - spytał Harry, taszcząc duży karton.

- W łazience - odpowiedziała Riley.

Gdy już wszystko zostało wniesione, Tom i Samuela padli na kanapę i przytulili się do siebie. Lin siedziała z podwiniętymi nogami na jednym fotelu, a Harry na drugim. Riley zaparzyła kawę i usiadła po turecku na podłodze.

Do drzwi zapukał Benedict.

- Widzę, że się wprowadzasz - powiedział. Riley poderwała się na równe nogi.

- Tak, moi dawni współmieszkańcy pomogli przenieść mi rzeczy - wyjaśniła lekko zmieszana.

- Zdaje się, że niczego ci nie brakuje, więc nie przeszkadzam - odparł i ruszył do drzwi.

- Może napijesz się z nami kawy? - zaproponowała.

- Nie, dzięki, muszę trochę popracować.

Riley wkrótce została sama. Pomachała na pożegnanie przyjaciółom i ruszyła na obchód domu i ogrodu. Z tarasu zobaczyła, że Benedict siedzi w gabinecie pochylony nad laptopem. Najwyraźniej jeszcze pracował. Przeszła do kuchni. Stał tam dzbanek z kawą. Wzięła go i ruszyła w stronę gabinetu Benedicta.

- Tak? - usłyszała jego zmysłowy głos, gdy zapukała. Otworzyła drzwi.

- Pomyślałam, że może masz ochotę na kawę... Pijesz czarną i bez cukru, prawda?

- Dzięki - podsunął swoją filiżankę - ale naprawdę nie musisz czekać, aż pójde spać, dziś posiedzę do późna.

- A co ze śniadaniem? - spytała.

- Rano wstaję i biegam. Śniadanie jem w kawiarni, po drodze do pracy - odparł. - Przed wyjściem piję tylko sok pomarańczowy, ale do jego przyrządzenia nie jesteś mi potrzebna. Jedyne posiłek, który musisz regularnie przygotowywać, to obiad. - Pochylił się nad szufladą i wyjął kartkę. - To umowa dla ciebie, przeczytaj.

- Tak, wszystko jest tak, jak ustaliliśmy - odpowiedziała i oddała mu podpisaną umowę.

Benedict również podpisał i oddał jeden egzemplarz Riley.

- W moim pokoju jest telefon, czy to wspólna linia? - spytała.

- Nie, masz osobną linię. Ja będę płacił abonament i miejscowe rozmowy, a ty zamiejscowe i na telefony komórkowe.

- Dziękuję. - Jest bardzo wspaniałomyślny, uznała w duchu.

- Nie ma za co, tak jest o wiele prościej - wyjaśnił. No tak, po prostu nie życzy sobie odbierać telefonów do swojej pomocy domowej, dotarło do niej z opóźnieniem.

- A czy ja mam odbierać twoje telefony? - spytała.

- Nie, robię to sam. Jeśli nie mogę podejść, to włączam automatyczną sekretarkę.

- Aha, rozumiem. - Choć Benedict nie zrobił żadnej aluzji, czuła, że już nie powinna zawracać mu dłuższej głowy. Widocznie miał zamiar jeszcze popracować. - No dobrze, to ci nie przeszkadzam, dobranoc.

- Dobranoc, Riley - odpowiedział. - Cieszę się, że tu jesteś - dodał, gdy już dotykała klamki.

Odwróciła się i uśmiechnęła do niego. Słowa Benedicta sprawiły jej ogromną przyjemność, choć oczywiście nie dała tego po sobie poznać.

Następnego wieczoru Riley zaserwowała Benedictowi i jego gościom soczyste steki, młode ziemniaki z masłem i miętą, bukiet warzyw, a na deser jeszcze ciepłą szarlotkę z lodami waniliowymi. Zmywała naczynia, gdy Benedict wkroczył do kuchni z butelką likieru w dłoni.

- Goście byli zachwyceni kolacją i przesyłają ci podziękowania. - Uśmiechnął się szeroko.

- Dziękuję, ale to przecież nie było nic wymyślnego. Wolałam nie eksperymentować, dopóki nie sprawdzę piekarnika.

- Masz ochotę na kieliszek likieru?

- Tak, poproszę. - Czowała, że to z jego strony forma podziękowania.

Napełnił kieliszek, przy okazji obdarzając Riley po raz kolejny tym swoim zabójczym uśmiechem.

- Czy mam posprzątać po kolacji? - spytała, wracając szybko do przyziemnych spraw, by nie bujać zbyt długo w obłokach.

- Nie, rozmowy mogą przeciągnąć się do późnej nocy. Dzięki tobie znacznie łatwiej będzie mi wynegocjować dogodne Warunki. Mój gość jest w znakomitym nastroju. - Spojrzał na nią tak, że zrobiło jej się gorąco. - Idź już spać, musisz być zmęczona. Życzę ci kolorowych snów.

Kiedy Benedict wrócił po pracy do domu, zastał Riley w kuchni.

- Jak ci minął dzień? Wszystko w porządku? - zapytał.

- Tak, właśnie przygotowuję kolację. O której podać?

- Jak ci wygodnie, tylko prosiłbym, żebyś przyniosła ją do gabinetu, bo niestety mam jeszcze bardzo dużo pracy.

Gdy wniosła tacę z gorącą kolacją, ledwie oderwał wzrok od komputera, lecz następnego dnia było zupełnie inaczej.

- Dziś zjem w kuchni, czy miałabyś ochotę mi towarzyszyć? - zapytał.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała zdawkowo, ale w głębi duszy naprawdę ucieszyła ją ta propozycja.

- Dziś podpisałem kontrakt - oznajmił triumfalnie, odkorkowując butelkę wina.

- Z tym facetem, który był tu na kolacji? - spytała.

- Tak. - Rozlał wino do kieliszków, odstawił butelkę i spojrzał na Riley. - Za twoją pyszną kuchnię i pomyślnie załatwienie interesów. - Wzniósł kieliszek do góry.

Riley uśmiechnęła się i też podniosła kieliszek.

- Podejrzewam, że szacowny trunek też miał spory udział w udanych negocjacjach - stwierdziła przekornie.

- Kolacja była mocno zakrapiana, nie przeczę. Jednak nie zapominaj, że umowę podpisaliśmy dopiero dzisiaj rano - roześmiał się. - Mam zupełnie czyste sumienie, naprawdę.

- Czy biznesmeni mają w ogóle sumienie? - Chyba trochę przesadziłam, zganiła się w duchu. To nie była zbyt taktowna uwaga.

- Ulegasz stereotypom. Myślałem, że stać cię na więcej. - Spojrzał na nią chłodno.

- Masz rację, wyciągam zbyt pochopne wnioski. Ty pewnie jesteś czysty jak pierwszy śnieg. Ucieleśnienie niewinności - skomentowała z przekąsem, zła, że krytyka Benedicta pod jej adresem była w pełni uzasadniona.

- A ty jesteś czysta? - Benedict uniósł brwi. W jego prowokacyjnym spojrzeniu było coś dziwnego, może zainteresowanie...

- Mówiłam wyłącznie o interesach - wyjaśniła pośpiesznie.

- A inne dziedziny mojego życia w ogóle cię nie interesują, tak?

- W ogóle - potwierdziła, chyba zbyt szybko.

- Nie wierzę.

- Twoje życie prywatne mnie nie obchodzi - powiedziała i ukroiła sobie plaster pieczeni z jagnięcia. - Złożyłam wypowiedzenie w przedszkolu - zmieniła temat. - Wkrótce będę wyłącznie do twojej... to znaczy...

Benedict roześmiał się, ale na szczęście nie skomentował jej niezręcznego sformułowania.

- Będzie ci brakowało starej pracy?

On wciąż obawia się, że będzie mi dokuczać samotność, domyśliła się natychmiast.

- Nie będzie tak źle - odparła. Przynajmniej będę miała więcej czasu na naukę, dodała w duchu. - A jeśli poczuję się samotna, umówię się z przyjaciółmi.

Praca dla Benedicta okazała się dla Riley niemal dziecinną igraszką. Jej chlebodawca nie był bałaganiarzem, nie rozrzucał ubrań po domu, raz tylko, odkurzając, znalazła parę butów pod kanapą. Na biurku piętrzyły się czasem stosy papierów i teczek, lecz oczywiście niczego nie dotykała.

Także w sypialni pana domu panował porządek. Łóżko zawsze porządnie zasłane, brak śladów jakichkolwiek gości.

Choć Riley nie była rannym ptaszkiem, zawsze wstawiała z łóżka, ubierała się i parzyła kawę, zanim pan domu wrócił z porannej przebieżki. Poznała szybko jego zwyczaje i upodobania. Wiedziała, że Benedict pija tylko gorącą i bardzo mocną kawę, lubi soczyste, ale nie krwiste steki, nie znosi natomiast brukselki i szpinaku.

Niedziele i wtorki miała wolne. Przypuszczała, że w te dni Benedict jadał poza domem. W trzeci wtorek od jej przeprowadzki Benedict zjawił się w domu około wpół do

dziesiątej i zastał Riley zegnającą się z Tomem i Harrym, z którymi spędziła miły wieczór przy piwie i muzyce z płyt.

Następnego ranka poprosił ją, by go odwiozła do pracy.

- Jestem umówiony na oficjalne śniadanie - oznajmił. -  
Przedtem chcę jeszcze przejrzeć notatki.

- Oczywiście - odparła, lecz kiedy podszedł do bmw, nie kryła zaskoczenia. - Mam prowadzić twój wóz?

- A dlaczego nie?

- Myślałam, że niezbyt mi ufasz w tej kwestii.

- Ależ ufam ci, Riley. Jednak jeśli czujesz się bezpieczniej w twoim samochodzie, nie ma sprawy. Pojedziemy tym, którym zechcesz.

- Nie jestem przyzwyczajona do automatycznej skrzyni biegów - odparła, choć tak naprawdę bała się prowadzić luksusową, kosztującą fortunę limuzynę.

- W takim razie będę ci musiał udzielić kilku lekcji, żebyś się oswoiła z moim bmw.

Pierwsza z obiecanych lekcji odbyła się jeszcze tego samego dnia, po powrocie Benedicta z pracy. Wyprowadził samochód z garażu i wskazał Riley miejsce dla kierowcy.

- Trzeba dosunąć fotel - powiedział z uśmiechem, widząc, że Riley z trudem dosięga do pedałów i musi wyciągać szyję, żeby zobaczyć coś znad kierownicy.

- Ale jak się to robi? - zapytała.

Pochylił się i przesunął jej fotel do góry i do przodu, muskając przy tym włosami jej policzek. Zaskoczyło ją, że były takie ciepłe i jedwabiste. I ten zapach... Intrygujący, niosący jakąś obietnicę...

- Lepiej? - Nagle się wyprostował.

- Tak, dziękuję. - Chwyciła mocno kierownicę, próbując przybrać obojętny wyraz twarzy. Miała nadzieję, że Benedict nigdy nie dowie się, jak bardzo jest podatna na jego urok.

To twój szef, zganiała się w myślach. A ty jesteś tylko jego gospodynią, nie zapominaj o tym, bo źle skończysz.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Benedict przełknął ślinę.

- Gotowa?

- Tak - odparła Riley, zerkając w lusterko.

- Nie denerwuj się, to auto naprawdę bardzo łatwo się prowadzi.

Rzeczywiście, samochód dosłownie płynął po szosie. Po kilkunastu minutach dojechali nad zarośniętą zatoczkę. Piaszczystą, wąską plażę otaczały drzewa pohutukawa. Malownicza szosa wiała się wzdłuż linii wybrzeża. Na plaży kilkoro dzieci bawiło się z psem, na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy.

- Może się zatrzymamy, żeby trochę rozprostować nogi - zaproponował.

Plaża wyglądała bardzo kusząco. Wokół było spokojnie, cicho i pięknie. Riley bez wahania przystała na propozycję Benedicta. Zamknęła samochód i podała Benowi kluczyki, po czym ruszyli na spacer wzdłuż brzegu. Riley zaczęła się wspinać na wielkie kamienie. Benedict złapał ją za rękę, gdy się lekko zachwiała.

- Uważaj! - powiedział.

- Dzięki, faktycznie powinnam uważać, bo kamienie są bardzo śliskie - odparła.

Nic nie odpowiedział, ale nadal podtrzymywał ją za łokieć. Właściwie szli pod rękę, ale Riley nie miała nic przeciwko temu, była zadowolona z takiego obrotu sprawy. Weszli na ścieżkę, która oddalała się od morza i biegła między domami. W niektórych oknach paliły się już światła.

Riley spojrzała w stronę morza. Wyślizgnęła się spod ramienia Benedicta i schowała rękę do kieszeni.

- Czy możemy iść samym brzegiem? - zapytała.

- Ależ oczywiście, jeśli tylko sobie życzysz - odpowiedział. Gdy schodzili w dół, szarmancko podał jej

dłoń. Na plaży ściągnęła buty. Piasek był jeszcze ciepły. Podbiegł do nich psiak, który bawił się z dziećmi.

- Wracaj! - zawołało jedno z dzieci.

Pies się zatrzymał i odwrócił, a potem gwałtownie otrząsnął. Kropelki wody spadły na twarz i podkoszulek Riley. Krzyknęła i odruchowo uniosła rękę. Natychmiast podbiegły do niej dzieci.

- Przepraszam! - zawołał najstarszy chłopiec i chwycił psa za obrozę. - Niedobry pies!

- Czy on nie powinien być na smyczy? - zapytał Benedict surowo. Na jego koszuli też były mokre plamy, choć mniejsze niż na podkoszulku Riley.

- Musi sobie czasem pobiegać - broniło się dziecko.

- Nic nie szkodzi - uśmiechnęła się Riley. - To zaraz wyschnie, naprawdę nic się nie stało. - Odruchowo pogładziła mokre plamy na torsie Benedicta. Gdy zdała sobie sprawę z intymności tego gestu, natychmiast cofnęła rękę.

Benedict patrzył na nią przenikliwie.

- Nie denerwuj się - poprosiła.

- Nie jestem zdenerwowany ani zły.

- Ale patrzysz na mnie tak, jakby to była moja wina...

- Ależ to nie była twoja wina - odpowiedział trochę zniecierpliwiony. - Nie wiem, dlaczego przyszło ci to do głowy.

- Czyżby? Patrzysz na mnie jakoś tak...

- Jestem normalnym, zdrowym facetem. Jak mam na ciebie patrzeć, skoro wyglądasz, jakbyś startowała w konkursie na miss mokrego podkoszulka?

- Co?! - Spojrzała w dół i natychmiast zrozumiała, co miał na myśli. - Ale... ale - zająknęła się. - Przecież jesteś moim pracodawcą! A ja twoją gospodynią...

- I co z tego? To jeszcze nie czyni z nas istot pozbawionych płci...

Wyglądała na oszołomioną, bo rzeczywiście słowa Benedicta wprawiły ją w osłupienie. Przecież dotychczas dawał jej do zrozumienia, że zupełnie nie jest nią zainteresowany, co więcej, zdawał się nie dostrzegać w niej kobiety. Była jego gospodynią, to wszystko. Ona niestety nie umiała się oprzeć jego urokowi, jednak nawet w najśmielszych snach nie przypuszczała, że Benedict kiedykolwiek zwróci na nią uwagę.

- Wiem, wiem - roześmiał się. - Po prostu... Pani Hardy nigdy nie wyglądała tak seksownie jak ty teraz...

Właściwie nie wiedziała, dlaczego jego słowa sprawiły jej taką przyjemność. Przecież wyjaśnił, że jest normalnym, zdrowym mężczyzną i reaguje we właściwy sposób na określone bodźce. Z pewnością jednak nie oznaczało to nic więcej, nie pozwalało snuć żadnych erotycznych fantazji. Nie miała wątpliwości, że Benedict żałowałby, gdyby ich znajomość zmieniła swój czysto zawodowy charakter.

Ona też by żałowała, chyba jeszcze bardziej.

- A co z Tiffany? - zapytała, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- Tiffany... - powtórzył. Jego twarz zmieniła wyraz.

- Przecież mówiłeś, że chcesz, żeby została twoją dziewczyną? - zdziwiła się.

- Mówiłem coś takiego?

- Tak, mówiłeś, że jest piękna, że chciałbyś, by wasza znajomość przerodziła się w trwały związek... - przypomniała nie tylko jemu, ale i sobie.

- Czyżby? - Spojrzał na nią przenikliwie. Doszli niemal na wysokość miejsca, w którym zostawili samochód.

- Coś w tym rodzaju. Mówiłeś, że ją bardzo lubisz, że jest piękna... Nie mylę się, prawda? - Skoro już poruszyła ten temat, postanowiła odważnie brnąć dalej. - No i że świetnie do siebie pasujecie, bo macie ze sobą wiele wspólnego.

- Ty też tak uważasz? - zapytał i skrzył w stronę samochodu.

- Tak - odparła, idąc za nim. '

- Nie sądzisz, że porywam się z motyką na słońce? Riley zamrugła ze zdziwienia. Niestety, było już zbyt ciemno, by mogła dostrzec wyraz twarzy Benedicta. Czy mówił poważnie, czy tylko kpił?

- Sugerujesz, że nie jesteś dla niej wystarczająco dobry?

- Otóż to.

- Bzdura! Skąd ci to przyszło do głowy? - Każda kobieta przy zdrowych zmysłach wykorzystałaby sytuację i spróbowałaby poderwać Benedicta. Wydawał się teraz taki bezradny i zagubiony. Każda, ale nie Riley, którą taki romans kosztowałby utratę najlepszej w życiu pracy, no i złamane serce. - Ona cię lubi!

- Lubi? - Najwyraźniej nie zrobiło to na nim większego wrażenia.

- Poprosiła mnie o przepis na deser, który przygotowałam na przyjęcie.

- O co? - Benedict absolutnie nie nadał za tokiem jej myśli.

- O przepis - powtórzyła Riley.

- I czego to ma niby dowodzić?

- No, to może jeszcze żaden dowód, ale... - szukała właściwego słowa - jednak wskazywałoby na jej zainteresowanie twoją osobą...

- Kto wie - uciał temat i otworzył drzwi samochodu. - Siadasz za kierownicą?

- Owszem - odparła odważnie. Przechodząc obok Benedicta, niechcący się o niego otarła.

- A może po drodze kupimy jakieś danie na wynos? Pewnie nie będzie ci się chciało gotować po powrocie do domu.

- Nie ma problemu, mogę coś przyrządzić, chyba że wolisz...

- Coś chińskiego - wszedł jej w słowo. - Lubisz chińszczyznę?

- Lubię.

- Świetnie, ja też. W takim razie pokażę ci miejsce, gdzie robią najlepsze pierożki.

Gdy zaparkowali przed domem, Riley podała Benedictowi kluczyki i wskazała na jedną z czterech toreb, z których dochodziły smakowite zapachy.

- Mam to zabrać? - zapytała.

- Nie - odparł takim tonem, jakby jej pytanie bardzo go rozbawiło. - Czujesz się już pewniej za kierownicą bmw? - zmienił temat.

- Myślę, że po paru lekcjach nabiorę wprawy.

- Może powinnaś przez tydzień odwozić mnie do pracy?

- Skoro sobie tego życzysz... - zgodziła się i poszła za nim do kuchni. - Chcesz zjeść tu czy w gabinecie? - zapytała, przytrzymując mu drzwi.

- Tu - odparł i położył torby na stole. - Masz ochotę na białe wino?

- Bardzo dobry pomysł - odpowiedziała i zajęła się przekładaniem chińszczyzny na półmiski, podczas gdy Benedict odkorkowywał butelkę.

Po chwili oboje zjadali ze smakiem.

- Masz rację, świetne - pochwaliła Riley.

W kuchni było ciepło, toteż koszulka Riley zdążyła już całkiem wyschnąć. Pozostał tylko lekki zapach słonej, morskiej wody.

- Nie lubisz psów? - zapytała niespodziewanie.

- Przeciwnie, bardzo lubię. Jako dziecko marzyłem o psie.

- I nie miałeś żadnego? Szkoda, to świetne towarzystwo dla małego chłopca - powiedziała z przekonaniem.

- Moi rodzice nie chcieli nawet mnie, a co dopiero psa lub kota.

Patrzyła na niego zszokowana. Ich spojrzenia się spotkały. Potem oboje odwrócili wzrok.

- Nie chciałem wzbudzać twojej litości, po prostu stwierdziłem fakt. Zresztą, nie ma o czym mówić - powiedział obojętnie i ponownie zajął się jedzeniem.

- Dlaczego nie ma o czym mówić? - spytała. Benedict wziął kieliszek, bawił się nim chwilę, a potem wypił łyk wina.

- Nie chciałabyś poznać historii mojego życia - powiedział z przekonaniem.

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo to nudna opowieść.

- Nie pomyliłam się w ocenie twojej osoby - powiedziała z zadowoleniem.

- Co masz na myśli? - Spojrzał na nią ostro.

- Na pierwszy rzut oka sprawiasz wrażenie rozpieszczonego dzieciaka z bogatego domu. Ale gdy ci się przyjrzałam nieco uważniej, doszłam do wniosku, że do wszystkiego doszedłeś sam - oznajmiła z przekonaniem.

- Tak, sam na wszystko zapracowałem - odparł twardo. Musiał harować jak wół, pomyślała. I nadal zapewne haruje.

- Ale skąd przypuszczenie, że twoi rodzice cię nie chcieli? - spytała łagodnie.

- Wyrzucili mnie z domu, gdy miałem szesnaście lat. To chyba o czymś świadczy?

Riley odjęło mowę. Słyszała o takich historiach, ale okrucieństwo niektórych rodziców wciąż ją porażało. Dlaczego świat tak powoli zmienia się na lepsze? Wciąż tak wiele na nim zła i podłości.

- To okropne! - zawołała, zanim zdążyła się zastanowić. - Przepraszam, jestem bezmyślna i nietaktowna.

Na jego twarzy najpierw pojawiło się zaskoczenie, potem jego rysy stężały.

- Wolność to najlepsza rzecz, jaką mi kiedykolwiek podarowali - powiedział oschle. - Niech zgadnę... Pochodzisz z dużej, kochającej się rodziny, utrzymujecie ze sobą bliskie kontakty - stwierdził niemal oskarżycielskim tonem. - Pewnie spędzacie razem wszystkie święta, dzwonicie do siebie.

- Moi rodzice są w Stanach, a ja bardzo za nimi tęsknię - powiedziała.

Przypomniała jej się ostatnia Wigilia - spędziła ją ze swoim starszym bratem, który kupił farmę w Nowej Zelandii. Trafność domysłów Benedicta zaskoczyła ją. Nie miała zamiaru ukrywać swego przywiązania do rodziny.

- Zazdrościsz mi? - spytała zaczepnie.

Spojrzał na nią ze złością. Wstał i przeszedł się po kuchni. Wziął kieliszek i wypił duży łyk.

- Zgadłaś - odpowiedział ostro, ale jego twarz rozpogodziła się.

- A na jakiej podstawie wysnułeś takie wnioski?

- Jesteś ufna, łatwo nawiązujesz kontakty, ale i potrafisz walczyć o swoje, gdy czujesz się zagrożona. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że masz braci, i to starszych. A może też siostry?

- Mam trzech braci i ani jednej siostry. Jestem pod wrażeniem - przyznała. - Może powinieneś zostać wróżbitą - mruknęła pod nosem.

- To spostrzegawczość, a nie dar jasnowidzenia - uśmiechnął się lekko. - Bardzo przydatna cecha, zwłaszcza dla biznesmena.

- Przydatna? - powtórzyła. Pomyślała, że powinna mieć się przed nim na baczności.

- Bardzo ważny jest właściwy dobór współpracowników. Musisz im bezwzględnie ufać. Ocena oparta na doświadczeniu i intuicji jest ważniejsza niż najlepsze referencje.

No tak, na referencje, które mu przyniosła, prawie nie spojrzał. Nie zapytał o nie, zanim sama nie zaproponowała, że mu je pokaże.

- A gdzie była twoja intuicja, gdy podejrzewałeś, że chcę uciec z miejsca wypadku? - zapytała ironicznie.

- W pierwszej chwili rzeczywiście cię o to podejrzewałem, ale co w tym dziwnego, skoro zaczęłaś krzyczeć, pluć, gryźć i drapać... - w oczach zapaliły mu się wesołe ogniki - ...niczym niesforne kociątko - zakończył.

- Nie jestem żadnym kociątkiem! - odparowała ze złością.  
- I wcale cię nie oplułam. Gdybyś mnie nie zaatakował niczym zwykły rabuś, nie musiałabym nawet krzyczeć.

- Rzeczywiście, ryknęłaś jak syrena strażacka. Myślałem, że ci faceci najpierw rozplaszczą mnie na betonie, a dopiero potem spytają, o co właściwie chodzi.

- No ale jesteś tak wygadany, że po piętnastu sekundach przeciągnąłeś ich na swoją stronę. Typowy przykład męskiej solidarności - skonstatowała z sarkazmem.

- Nie, to przykład na to, że mężczyźni na ogół dążą do obiektywnej oceny faktów, nie kierują się emocjami - odbił piłeczkę. - Uszkodziłaś mój samochód i zostałaś przyłapana na gorącym uczynku. Każdy bezstronny sędzia przyzna, że to ja byłem poszkodowaną stroną.

- Gadaj zdrów, ja i tak wiem swoje. Przecież wreszcie przyznałeś, że niewłaściwie mnie oceniłeś. Wcale nie zamierzałam zbiec z miejsca wypadku.

- Jednak wszystko wskazywało na to...

- Bzdura!

Spierali się zaciekle, lecz z coraz większym rozbawieniem. Potem zaczęli się spierać o to, kto powinien zjeść dwa ostatnie pierożki.

- Ty zjedz - upierał się Benedict. - To twoja porcja.



- Ty jesteś większy ode mnie i musisz więcej jeść -  
obstawała przy swoim Riley.

- To nie sztuka być większym od ciebie - mruknął  
Benedict.

- Też mi argument! - obruszyła się i pokazała mu język.

- Mam nadzieję, że cię nie uraziłem. - Benedict  
natychmiast spowaźniał. - To był cios poniżej pasa. Wiesz, w  
szkole średniej mówili na mnie Mały.

Zadzwoił telefon. Benedict zerwał się, by go odebrać.

- Nie włączyłem sekretarki - wyjaśnił, pędząc do aparatu.  
- O, Tiffany - powiedział do słuchawki. - Nie, wcale mi nie  
przeszkadzasz.

Riley wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. Pozmywała  
naczynia i doprowadziła kuchnię do idealnego porządku,  
próbując nie zwracać uwagi na prowadzoną przez Benedicta  
rozmowę. Nie było to trudne, ponieważ przez większość czasu  
mówiła Tiffany, Ben tylko jej potakiwał.

- Czy mam wyjść? - spytała półgłosem Riley.

- Nie - odpowiedział, przykrywając dłonią słuchawkę. -  
Zaraz skończę.

Riley odniosła kieliszki do kredensu w salonie. Gdy  
wróciła do kuchni, Benedict właśnie skończył.

- Tiffany w sobotę organizuje przyjęcie urodzinowe -  
powiedział.

- Aha, w takim razie tego wieczoru nie muszę robić  
kolacji - odpowiedziała bardzo spokojnie, co nawet ją samą  
wprawiło w zdumienie.

- Uważasz, że powinienem pójść? - Przyglądał jej się  
bardzo intensywnie.

- Oczywiście - odparła natychmiast.

- Pytała mnie, czy z kimś przyjdę.

- To znaczy, że chce, żebyś przyszedł sam - odparła.

- W przeciwnym wypadku zaprosiłaby cię z osobą towarzyszącą.

- Tak myślisz?

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości - wzruszyła ramionami. Zastanawiała się, gdzie się podziały jego przenikliwość, spostrzegawczość i intuicja.

Kto by pomyślał, że takiemu atrakcyjnemu mężczyźnie brakuje pewności siebie. Nie potrafił odczytać jasnych i jednoznacznych sygnałów wysyłanych przez piękną kobietę. A może myślał, że nie jest dla niej dość dobry? Benedict patrzył na Riley, ale myślami chyba błądził daleko stąd. On jest w niej zakochany! - uświadomiła sobie nagle. Serce ścisnęło jej się z bólu.

- Nie powinieneś tam iść z kimś innym - powiedziała cicho.

- Nie sądzisz, że wzbudzenie odrobiny zazdrości poprawiłoby moje notowania? - Spojrzał na nią badawczo.

- Nie znam aż tak dobrze Tiffany... - zawahała się.

- Poza tym nie jestem tu od udzielania porad sercowych.

- Czuję się coraz bardziej nieswojo, chciała zakończyć tę dyskusję. - Jesteś przecież świetnym znawcą ludzkich charakterów.

Benedict westchnął, potem zmarszczył czoło.

- Niektórzy ludzie są bardziej skomplikowani od innych - powiedział z namysłem.

A więc to tak... Riley zacisnęła usta. Bez trudu ją przejrzał, bo uznał ją za prostolinijną i nieskomplikowaną istotę. Tymczasem Tiffany... Kto wie, może te błękitne oczy, jasne włosy i smukła figura były atrakcyjnym dodatkiem do niezwykle złożonego wnętrza.

- Zaprosiłeś ją do dobrej restauracji albo w inne miłe miejsce? - zapytała, choć przecież jeszcze przed chwilą

odżegnywała się od udzielania jakichkolwiek porad sercowych.

- Nie, nigdzie jej nie zaprosiłem - odparł.

Nie był przecież nieśmiałym chłopcem. Zazwyczaj poczynał sobie bardzo rezolutnie.

- No to na co jeszcze czekasz? Przecież ona ci się podoba?

Spojrzał na nią, ale długo się nie odzywał. Wydawało jej się, że minęły wieki.

- Tak, Tiffany ma wszystko, o czym kiedykolwiek marzyłem - przyznał.

To oczywiste. Wielu mężczyzn marzyło o kobiecie takiej jak Tiffany. Z pewnością nie każdy mógłby ją zdobyć, ale Benedict miał spore szanse.

- No to daj jej do zrozumienia, że nie jest ci obojętna. Okaż jej swe zainteresowanie - powiedziała.

- A czy ty byś tak zrobiła, gdyby zależało ci na jakimś mężczyźnie?

- Oczywiście - odparła, siląc się na obojętność. Tak, pomyślała, tak bym zrobiła w przypadku każdego faceta. .. oprócz ciebie. Wolę nie startować w wyścigu, w którym jestem z góry skazana na przegraną. - Lecz zapewne Tiffany jest inna. - Pewnie, nie dość, że bogata, to jeszcze piękna. Mogła spokojnie czekać, aż mężczyzna wykona pierwszy ruch. - Nie powiedziała ci wprost, że jej się podobasz, ale to i owo dała do zrozumienia. Wybierz się na przyjęcie i zaproś ją gdzieś.

- Naprawdę myślisz, że właśnie tego oczekuje? - Benedict uniósł brwi.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości. Posłuchaj mojej rady, a dobrze na tym wyjdiesz - powiedziała spokojnie, choć wypowiedzenie tych słów kosztowało ją wiele wysiłku. Oto właśnie z premedytacją uśmiercała swe marzenia.

Benedict wbił ręce w kieszenie, nie wyglądał na zadowolonego.

- Dzięki za dobre rady - powiedział dziwnie naburmuszony. Jakby nagle stracił dobry humor. - Idę spać, dobranoc.

Riley nie wiedziała, czemu jego nastrój uległ takiej gwałtownej zmianie. Wiedziała natomiast, dlaczego ona jest coraz bardziej wściekła. Gwałtownie zmięła pusty pojemnik po chińszczyźnie i z rozmachem rzuciła do kosza.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

W tygodniu, w którym odbywało się przyjęcie u Tiffany, Benedict powiedział Riley, żeby wzięła sobie wolne na cały weekend. Riley pojechała odwiedzić brata. Wróciła późnym wieczorem w niedzielę. Benedicta nie było w domu, nie było też jego samochodu. Gdy kładła się spać, Benedicta nadal nie było. Próbowwała nie myśleć, gdzie jest i co porabia.

Następnego ranka, gdy przygotowywała śniadanie, wszedł do kuchni w dresie i sportowych butach. Najwyraźniej wrócił z porannego biegania.

- Parzę kawę, zaraz będzie gotowa - przywitała go.
- Świetnie. - Wziął kubek i usiadł przy stole.
- Jak się udało przyjęcie? - spytała.
- Bardzo dobrze, dziękuję - odparł. Przyglądał jej się uważnie. - Zaprosiłem Tiffany na kolację.
- O rany, gdzie ją zabierasz? - W głosie Riley zabrzmiał nieco fałszywy entuzjazm.
- A skąd wiesz, że się zgodziła?
- No nie wiem, tylko pomyślałam... - Głos zadrżał jej z emocji. Skrycie liczyła na to, że może jednak spotkał go zawód. Jednak powinna chłodno oceniać sytuację i wyciągać właściwe wnioski. Gdyby Tiffany dała Benowi kosza, nie byłby w takim świetnym humorze.
- Zgodziła się - przyznał. - Jak myślisz, gdzie ją powinienem zaprosić. Może do domu?
- Nie! - Riley coraz mniej panowała nad swoimi emocjami. - Na pierwszą randkę powinieneś zabrać ją w jakieś wyjątkowe miejsce. Dobra restauracja, modny klub czy coś w tym rodzaju... Nie chcesz przecież wyjść na sknerę?
- Za nic! - Oczy mu błysnęły. - Zarezerwuję stolik w restauracji.

- Przecież tak naprawdę nie potrzebujesz moich wskazówek. - Wiedziała dobrze, że poradziłby sobie świetnie bez niej.

- Jestem ci za nie niezmiernie wdzięczny, Tiffany jest naprawdę wyjątkowa. Zupełnie inna niż większość kobiet, z którymi się umawiałem.

Znów poczuła ten dławiący ucisk w piersiach.

- Dlaczego? - zapytała słabym głosem. Jego odpowiedź trochę ją zaskoczyła.

- Mówiłem ci, jeszcze jako nastolatek postanowiłem, że będę bogaty. - Zacisnął usta w wąską linię. - Pewnie ty też nie uważasz tych dążeń za zbyt ambitne...

Riley nie miała zamiaru go oceniać. Zresztą, kto wie, z jakiego powodu tak naprawdę dążył do bogactwa? Może chciał uzyskać poczucie bezpieczeństwa, którego tak bardzo mu brakowało w niespokojnym dzieciństwie. - Wielu ludzi pragnie żyć w dostatku - powiedziała. - Jednak nie wszyscy dochodzą do pieniędzy własną pracą, tak jak ty. Szanuję to, naprawdę.

Ekspres do kawy wyłączył się, Benedict napełnił kubek aromatycznym płynem.

- Zrealizowałem większość celów, które sobie wytyczyłem. Mam trzydzieści dwa lata i zbudowałem ten dom z myślą, że najwyższa pora się ustatkować, założyć rodzinę.

- To zupełnie naturalna potrzeba. - Riley głośno przełknęła ślinę.

Benedict spojrzał jej prosto w twarz.

- Zawsze mi się wydawało, że ożenię się z kimś takim jak Tiffany. Z kimś, kto dobrze zna swoje korzenie.

Riley przypomniało się, że w pierwszej chwili porównała dom Benedicta do zamku potężnego króla albo czarodzieja. Czyżby Ben czytał w dzieciństwie dużo bajek i marzył o poślubieniu księżniczki?

- Każdy ma jakieś korzenie - skomentowała. - W przypadku Tiffany chodzi dodatkowo o pieniądze i pozycję społeczną. Chcesz, żeby twoje małżeństwo odpowiadało aspiracjom i stylowi życia, do jakiego już się przyzwyczaiłeś.

Zauważyła, że Benedict lekko się zaczerwienił.

- Masz rację. Na swoją obronę powiem tylko, że nie interesują mnie pieniądze Tiffany. Mam dość własnych. Jednak sama powiedziałaś, że Tiffany jest doskonała.

- To prawda - przyznała z pewną rezygnacją. - Jest także bardzo miła. Zbyt miła, żeby poślubić kogoś, kto jej nie kocha.

- Źle mnie zrozumiałaś, Riley - powiedział lodowatym głosem. - Nie mógłbym ożenić się z kobietą, do której nic nie czuję.

- W takim razie nie widzę problemu.

- Nie wiem, czy ona mnie kocha - powiedział z widocznym wahaniem.

- Jak długo ją znasz?

- Kilka miesięcy.

Riley instynktownie wyczuła, że Benedict mija się z prawdą.

- Jak ją poznałeś?

- Robiłem interesy z jej ojcem - odparł po chwili namysłu.

- Zaprosiłem go kiedyś z rodziną na barbecue. Tiffany uparła się, żeby mi pomagać, cały wieczór krążyła między kuchnią a ogrodem, posprzątała po przyjęciu. Pani Hardy była nią zachwycona.

- I ty też, prawda?

- Pomyślałem, że łatwo ją pokochać. - Spojrzał na Riley z ukosa.

- Dlaczego zatem nie zaproponowałeś jej jakiegoś wspólnego wyjścia?

- Z kilku powodów. - Wzruszył ramionami. - Pomyślałem, że jestem dla niej za stary.

- A ile ona ma lat? - Riley starała się nie wypaść z roli życzliwej powierniczki, choć przychodziło jej to z coraz większym trudem.

- Dwadzieścia trzy.

- Dziewięć lat to niewiele. - A osiem jeszcze mniej...

- Nie wiem, może to zależy od tego, co się samemu robiło w tym wieku...

- Masz na myśli gromadzenie fortuny?

- Mam na myśli pobyt w poprawczaku, między innymi. No cóż...

- W poprawczaku? - Riley aż zamrugowała ze zdziwienia. - To musiało być dawno temu, prawda? - Nie mieściło jej się w głowie, że powszechnie szanowany, wpływowy biznesmen miał na sumieniu takie poważne przewinienia. - Go zrobiłeś?

- Chciałem bardzo szybko zdobyć dużo pieniędzy. Zostałem członkiem gangu, zorganizowaliśmy prawdziwy napad na bank.

Benedict bandziorem?

- Byliście uzbrojeni? - Zdobyła się na odwagę, by zapytać.

- Miałem pistolet - atrapę. Byłem wtedy strasznie głupi, miałem piętnaście lat... Jeden z chłopaków miał prawdziwą broń, ale dowiedziałem się o tym, dopiero wtedy gdy zaczął nim wymachiwać urzędnikowi bankowemu przed nosem. W pewnym sensie nie wierzyłem, że to się dzieje naprawdę, ot, taka szczeniacka fantazja. Na szczęście nas złapali.

- Na szczęście?

- Na policji i w sądzie nie pozostawiono nam żadnych złudzeń, że poniesiemy jak najprawdziwsze konsekwencje swego czynu. Dobrze się stało, bo gdyby udało nam się uciec, pewnie pomyślałbym, że to całkiem dobry pomysł na życie i



został przestępcą jak mój stary. A ja oczywiście, jak każdy gówniarz, uważałem się za o wiele sprytniejszego od ojca.

- Twój ojciec był przestępcą? - Riley wydawała się oszołomiona.

- Większość życia przesiedział w pudle za różne drobne przestępstwa. Teraz jest w domu starców, trochę na to za wcześnie, ale...

- Płacisz za jego pobyt?

- Lepsze to niż pobyt w mamrze. - Benedict uciekł wzrokiem. - Media miałyby niezłe używanie, gdyby się o tym dowiedziały.

A więc robił to w trosce o własną reputację... Zastanawiała się, czy jest z nią teraz do końca szczery.

- A co z twoją matką?

- Moja matka umarła z przepicia, gdy miałem dwadzieścia jeden lat. Nawet nie poszedłem na jej pogrzeb...

Zaległa cisza. Po paru sekundach Riley odważyła się zapytać:

- Dlaczego wyrzucili cię z domu?

- W poprawczaku pomogło mi kilku ludzi, zajęli się mną, zmusili, bym inaczej spojrział na swoje życie. Nauczyli mnie, że uczciwość i honor to wartości, którym warto pozostać wiernym. Myślę, że jestem żywym dowodem na to, że resocjalizacja nieletnich przynosi czasem zadziwiająco zadowalające efekty. - Benedict uśmiechnął się. - W każdym razie, kiedy stamtąd wyszedłem, zapragnąłem odmienić życie rodziców i sprawić, byśmy się stali prawdziwą rodziną. Oni jednak wysłali mnie do diabła. Ale nie winię ich za to - zakończył.

Riley nie potrafiła zdobyć się na równie wielką wyrozumiałość. Być może to, że ich własny, nastoletni syn wskazał im właściwą drogę, było dla rodziców Benedicta pigułką trudną do przełknięcia, ale przecież powinni

przynajmniej spróbować. Dla własnego dobra i dla dobra ich dziecka.

- Jak sobie poradziłeś?

- Nie byłem zdany wyłącznie na siebie. Mój przyjaciel, kapelan, znalazł mi mieszkanie i skontaktował mnie z właściwymi ludźmi. Miałem szczęście.

To tylko część prawdy, pomyślała Riley. Benedict musiał podjąć niesamowity wysiłek, by odmienić swój los. Ciężko pracował i nie tylko osiągnął sukces, lecz także uporał się z cieniami przeszłości. Miał siłę, by marzyć i by konsekwentnie dążyć do wytyczonego celu.

Marzył o wspaniałym domu, pięknej, kochającej żonie i dzieciach, którym nie zbywałoby ani na miłości, ani na dobrach materialnych.

Nie, Benedict nie miał prawa nazywać się niezbyt ambitnym i przyziemnym człowiekiem. Wielu mężczyzn z jego pozycją wydawałoby pieniądze na błahostki lub luksusowe zachcianki i zabawiało się z kobietami bez żadnych zobowiązań. On był inny. Miał ambitne plany i umiał pokonywać rzeczywiste, a nie jedynie wydumane przeciwności losu. Uparcie dążył do celu, nie narzekał, nie skarżył się na los, nie obwiniał też nikogo za smutną przeszłość.

- Nie miałem zamiaru opowiadać ci historii mojego życia, Riley. - Wyrwał ją z zadumy. - Muszę przyznać, że umiesz słuchać.

Riley przyjęła ten komplement spokojnie. Przyjaciele, z którymi mieszkała, często wylewali przed nią swoje smutki, najczęściej wtedy, gdy dopadły ich sercowe kłopoty. Nawet jej bracia szukali u niej pociechy i wyznawali grzeszki, jeszcze zanim zwrócili się do rodziców.

Benedict wstawił kubek do zlewu.

- Zostaw, ja pozmywam.

- Dzięki - powiedział i pospiesznie opuścił kuchnię. Chyba jest mu głupio, że tak bardzo się przede mną odsłonił, uznała po namyśle.

We wtorek Riley odwiozła Benedicta do pracy.

- Czy możesz przyjechać po mnie pod Glen Innes? Pojadę tam po pracy taksówką. O dziewiątej... Tu masz adres.

Glen Innes było centrum sportowo - rekreacyjnym. Riley spodziewała się, że Benedict odwiedza je dla zachowania kondycji. Gdy jednak znalazła się na miejscu, nie mogła go nigdzie wypatrzeć. Przed wejściem stała za to spora grupa chłopców w bluzach z kapturami i luźnych, jakby za dużych spodniach. Panował spory harmider, młodzi ludzie poszturchiwali się, głośno pokrzykiwali. Riley nie miała pojęcia, czy to tylko zabawa, czy też chłopcy szukają ujścia dla swej agresji.

W pewnej chwili spośród zgromadzonych wydzieliła się mniejsza grupka i Riley dostrzegła charakterystyczny, szeroki tors Benedicta. Jeden z młodzieńców, co najmniej o głowę od niego wyższy, położył wielką dłoń na jego ramieniu.

Riley momentalnie wyskoczyła z samochodu, i nim zdążyła pomyśleć, podbiegła w ich stronę.

- Zostawcie go! - zawołała, a ręce same zacisnęły się jej w pięści.

Kilka głów odwróciło się w jej stronę. Benedict ruszył w jej kierunku.

- Riley! - przywitał ją wesoło. - Chodź, poznasz mój zespół. - Wprowadził ją w środek grupy. - To Dak, to Pene, to Bubs, a to Mad Max...

Niektórzy wyciągnęli dłoń, inni mruknęli tylko: „cześć”.

- Hej, trenerze, ta laska to twoja dziewczyna? - zapytał brązowoskóry chłopak z włosami spiętymi w kucyk i kolczykiem w uchu.

- Nie, to moja gospodyni - wyjaśnił Benedict. Rozległy się pełne podziwu gwizdy i pohukiwania.

- Spokojnie, panowie - uciszył ich Benedict.

Ku jej zdziwieniu, chłopcy natychmiast go usłuchali. Choć co najmniej połowa z nich była wyższa od Benedicta, zachowywali się przy nim grzecznie, wręcz potulnie. Riley poczuła się nieco zażenowana takim obrotem sprawy.

- Widzimy się za tydzień. - Benedict pożegnał się ze swoimi podopiecznymi i poprowadził Riley do auta. Gdy uruchomiła silnik, zapytał: - Chciałaś przyjść mi na ratunek? - Roześmiał się.

- Wyglądali jak.

- ...młodociani przestępcy? - dokończył za nią. - To chłopcy, którym trzeba znaleźć jakieś zajęcie, jakiś cel, bo inaczej zejdą na złą drogę.

Tak jak dawno temu stało się to z tobą, pomyślała natychmiast.

- Uważasz pewnie, że zachowałam się jak idiotka?

- Uważam, że zachowałaś się bardzo odważnie - zaoponował. - Choć rzeczywiście niezbyt mądrze - dodał po chwili. - Ale przede wszystkim ujęłaś mnie tym, że stanęłaś w mojej obronie.

- Co z nimi trenujesz?

- Koszykówkę.

Gdyby jej kazano zgadywać, powiedziałaaby pewnie, że boks. Ale koszykówka?

- Grałeś kiedyś w kosza?

- W poprawczaku. Facet prowadzący zajęcia sportowe zapytał mnie, co bym chciał trenować. Powiedziałem, że kosza, tak na odczepnego, by dał mi święty spokój. Jednak on wygonił mnie na parkiet, a ja mu powiedziałem, że chyba zwariował. Z góry założyłem, że jestem zbyt niski, by cokolwiek osiągnąć. Zwymyślał mnie wtedy, zganił za takie

podejście, a potem wzruszył lekceważąco ramionami i odszedł. - Benedict roześmiał się na to wspomnienie. - Niezły był z niego psycholog. Postanowiłem udowodnić mu, że mogę być naprawdę dobry. Oczywiście przy moim wzroście nie miałem szans, by zrobić karierę jako gwiazda koszykówki, ale dzięki uporowi i waleczności zostałem cenionym zawodnikiem. Wiele lat później przeczytałem o programie resocjalizacji poprzez sport i jako wolontariusz zgłosiłem się na trenera - wyjaśnił spokojnie. - Tutejsza drużyna raczej nie zdobędzie złota olimpijskiego, ale moi chłopcy lubią ten sport i przynajmniej raz w tygodniu spędzają wieczór w sali gimnastycznej, a nie na ulicy.

- Uważam, że robisz wspaniałą rzecz - oznajmiła ze szczerym uznaniem Riley. Powiedział o nich „moi chłopcy”, jak gdyby był z nich dumny. Na pewno miał zadatki na fantastycznego ojca...

- Zaciągnąłem w życiu u paru ludzi dług wdzięczności, którego nigdy nie będę mógł spłacić. Jedyne, co mogę zrobić, to zaszczepić tym chłopakom choćby część tego, czego mnie nauczono. A poza tym po prostu lubię tę grę - powiedział to takim tonem, jakby chciał zaznaczyć, że nie życzy sobie dalszego roztrząsania tej sprawy.

We środę rano Benedict poinformował Riley, że tego wieczoru nie wróci na kolację.

Wybiera się dokądś z Tiffany, to jasne, pomyślała.

- Miłego wieczoru - powiedziała, siląc się na promienny uśmiech.

- Dzięki - odparł.

Riley odniosła wrażenie, że w jego głosie pobrzmiewała ironia. Ale może była zbyt wyczulona na najmniejsze zmiany w jego tonie lub słyszała po prostu to, co chciała. Pewnie Tiffany przyjęła zaproszenie Benedicta, nic zatem dziwnego, że był w świetnym humorze.

Następnego ranka Riley rozmyślnie zaczęła, aż Benedict opuści kuchnię, zanim sama do niej weszła. Nie zniosłaby opowiadania o jego upojnej randce z Tiffany. Poczowała ulgę, gdy po powrocie z pracy nie poruszył tego tematu.

Jej chlebodawca coraz częściej spędzał wieczory poza domem. Którejś soboty oznajmił, że „jego chłopcy” biorą udział w turnieju, toteż w nagrodę chciałby im zafundować jakieś fajne wyjście. Riley dostała dodatkowy wolny dzień.

- A nie mogłabym pokibicować? - zapytała pod wpływem impulsu. Wiedziała już, ile ten zespół dla niego znaczył, znała imiona i pseudonimy chłopców i uwielbiała słuchać jego opowieści na ich temat. Wiedziała również, że kilku zawodników miało drobne zatargi z prawem i Benedict wpajał im nie tylko zasady koszykówki.

- Jasne - odparł bez namysłu. - Przyda im się wsparcie i kilka życzliwych osób na widowni.

- Przyprowadzę kumpli - oświadczyła Riley i dotrzymała obietnicy. Jej przyjaciele stawili się na mecz w komplecie. Wszyscy pomalowali twarze w barwy klubu. W czasie rozgrywki nie żalowali gardła.

Chłopcy, uskrzydleni dopingiem, doszli aż do finału, w którym przegrali z drużyną powszechnie uważaną za faworyta rozgrywek. Jednak i tak odnieśli wielki sukces. Po odebraniu nagród, wzięli na ręce trenera i zaczęli go podrzucać. Riley pomyślała, że Benedict chyba nigdy jeszcze nie był równie szczęśliwy.

Chwilę później podszedł do niej cały rozpromieniony.

- Bardzo ci dziękuję za wsparcie. Wszystkim wam dziękuję - zwrócił się do przyjaciół Riley. - Chłopcy marzą, byśmy razem uczcili ten sukces.

Większość kumpli Riley miała inne plany, ale ona sama, a także Harry, spędzili wesoły, głośny wieczór w pizzerii wybranej przez drużynę, mimo iż Benedict proponował lepszą

knajpę. Posiedzieli do zamknięcia lokalu, po czym Benedict odwiózł niektórych podopiecznych i wrócił do domu, gdy Riley już spała. Następnego dnia rano podziękował jej raz jeszcze.

- Chłopcy naprawdę bardzo się ucieszyli, że przyszliście. Rodzice niektórych z nich nie wykazują najmniejszego zainteresowania tym, co robią ich synowie, niestety...

- A co z Tiffany?

- Tiffany? - Benedict zamrugał ze zdziwienia. - Ona zupełnie nie pasowałaby do... tej atmosfery.

- Myślę, że jesteś w błędzie - odparła z przekonaniem Riley. Najwyraźniej postrzegał Tiffany jako księżniczkę mieszkającą w wieży z kości słoniowej. Choć z drugiej strony rzeczywiście trudno było sobie ją wyobrazić z twarzą pomalowaną na czerwono - zielono, zagrzewającą okrzykami koszykarzy do boju. Mimo to Riley nie miała wątpliwości, że Tiffany zjawiłaby się na turnieju. Ze względu na Benedicta. Benedict potrząsnął głową.

- Ona nie interesuje się sportem. Lubi operę i balet. Jedno nie wyklucza drugiego, chciała mu powiedzieć, ale nie zrobiła tego. W końcu lepiej znał gusty i upodobania Tiffany.

Parę dni później Benedict zaprosił kilka osób na późną kolację. Wśród nich była Tiffany. Riley szykowała się już do snu w swoim apartamencie, gdy wesoła gromadka wtargnęła do kuchni. Po chwili wahania Riley postanowiła wyjść do gości, by zapytać, czy im czegoś nie potrzeba.

Benedict przedstawił ją swoim znajomym.

- A Tiffany już znasz... - zakończył prezentację.

- Witaj! - Tiffany szczerze ucieszyła się na widok Riley. - Podobno objęłaś posadę po pani Hardy? Odpowiada ci ta praca?

- Jak najbardziej - odparła grzecznie Riley. To dziwne, ale Tiffany chyba rzeczywiście nie ma nic przeciwko temu, że Benedict mieszka pod jednym dachem z inną kobietą, pomyślała Riley. - Mam przyrządzić kolację? - zwróciła się do Benedicta.

- Każę ci być w gotowości przez okrągłą dobę? - Tiffany posłała panu domu zalotne spojrzenie. Pozostali goście ryknęli śmiechem. - Ale z ciebie wstrętny kapitalista - zganiła Benedicta i żartobliwie pogroziła mu palcem.

- Nieprawda - zaprotestowała żywo Riley. - Benedict jest bardzo dobrym pracodawcą. Co mam przyrządzić? - zapytała z uśmiechem.

- Dzięki, ale byłoby przesadą, gdybym kazał ci teraz sterczeć przy kuchni. Napijemy się po prostu kawy.

- Poradzimy sobie sami - rzuciła Tiffany. - Nie będziemy cię trzymać na nogach o tak późnej porze.

- Zostań z nami, jeśli masz ochotę - zaproponował Benedict, a Riley zauważyła, że Tiffany zrobiła zdziwioną minę. Zapewne zapraszając pomoc domową do stołu, ujawnił jej zdaniem swoje niskie pochodzenie, pomyślała Riley.

- Dziękuję, panie Falkner, ale właśnie udawałam się na spoczynek - odparła niczym dziewiętnastowieczna pokojówka.

Jeszcze po zamknięciu drzwi do swojej sypialni słyszała śmiech i rozmowy dochodzące z kuchni. Widocznie goście postanowili wypić kawę właśnie tam. Podejrzewała, że Benedict regularnie widuje się z Tiffany, jednak do domu zapraszał najczęściej ludzi, z którymi łączyły go interesy.

W następny weekend Benedict wyjechał, a Riley spędziła wolne dni z bratem i jego żoną. Starła się nie myśleć, gdzie jest Benedict i czym się zajmuje.

Zazwyczaj, gdy wieczorami pracował w swoim gabinecie, Riley zanosila mu filiżankę kawy, zanim kładła się spać.



Kiedyś jak zwykle powędrowała do jego gabinetu z tacą, ale pokój był pusty. Z piętra dobiegała cicha muzyka, a na schodach widać było smugę światła. Riley weszła na górę i stanęła w progu niewielkiego salonu. Górne światło było zgaszone, paliła się tylko niewielka lampka na stoliku. Benedict leżał wyciągnięty na kanapie, z rękoma pod głową. Nie była pewna, czy śpi, więc stała w miejscu. Nagle otworzył oczy i spojrzał na nią.

- Przeszkodziłam ci - powiedziała przeprasząco. Jego oczy w przygaszonym świetle miały kolor wieczornego nieba. Głęboki i tajemniczy.

- Proszę, wejdz. - Usiadł na kanapie. Patrzył, jak Riley idzie przez pokój i zbliża się do niego.

Uświadomiła sobie, że jest ubrana tylko w cieniutką jedwabną bluzeczkę i nie ma stanika. Poczowała się trochę nieswojo, choć Benedict nigdy nie komentował jej stroju.

Gdy podała mu filiżankę, podziękował krótko. Już miała wyjść, lecz nagle poprosił, by usiadła. Wybrała miejsce jak najdalej od niego.

- Obiecuję, że cię nie ugryzę, bo to przecież twoja specjalność - uśmiechnął się lekko.

- Mógłbyś przestać mi o tym przypominać - burknęła niechętnie.

- Co, staję się nudny? Pewnie dlatego ciągle mi się to przypomina, bo ja nie mam zwyczaju kąsać nieznanym - uśmiechnął się łobuzersko.

- Ja również, wtedy po prostu straciłam nad sobą panowanie. Ja też nie gryzę nieznanym mężczyzn...

- A znajomych? - zapytał natychmiast.

- Znajomych też nie, nigdy nikogo nie ugryzłam... oprócz ciebie - odparła z godnością.

- A zatem był to pierwszy raz dla nas obojga. - Spojrzał na nią spod przymkniętych powiek.

Riley miała wrażenie, jakby przeskoczyła między nimi jakaś iskra. A może jej się tylko wydawało? Benedict siedział z wyciągniętymi nogami, oczy miał przymknięte, wyglądał na zmęczonego i trochę nieobecnego duchem.

- Może położysz się dziś wcześniej? - zaproponowała. Spojrzał na nią pytająco.

- Wiem, jak długo pracowałeś przez ostatnie dni - powiedziała.

- Teraz nie pracuję - odparł i położył ramię na oparciu kanapy. - Co się dzieje, chyba się mnie nie boisz?

- Oczywiście, że się nie boję - odpowiedziała. Ale jestem głupia, przez chwilę pomyślałam, że chce mnie dotknąć, zgaśniła się w duchu. - Jesteś moim pracodawcą, dlaczego miałabym się bać?

- Nie ma żadnego powodu. - Powoli upił łyk kawy.

- Wydajesz się zdenerwowana.

- Gdy poprosiłeś, żebym usiadła, pomyślałam, że masz jakieś zastrzeżenia do mojej pracy...

- Nie, po prostu chciałem z tobą porozmawiać, ale jeśli chcesz iść spać, to nie będę cię zatrzymywał na siłę.

- W jego głosie pojawił się chłód.

- Chętnie zostanę i posłucham z tobą muzyki - odparła.

- Lubisz Mozarta? - Spojrzał na nią trochę sceptycznie. - Myślałem, że wolisz słuchać innej muzyki. Będzie mi miło, jeśli ze mną chwilę posiedzisz. Nalej sobie kawy, a może masz ochotę na drinka?

W rogu pokoju stał niewielki barek. Riley nie chciało się ruszać, tak naprawdę to miała ochotę na filiżankę gorącej czekolady przed snem.

- Nie dzięki, jest mi dobrze - odparła.

- Mnie też - szepnął. Gdy płyta się skończyła, wstał i podszedł do odtwarzacza.

Riley poderwała się na równe nogi.

- Dziękuję za miły wieczór - powiedziała.

- To ja dziękuję - odparł.

- Dobranoc. - Riley ruszyła w stronę drzwi. Była już prawie w progu, gdy usłyszała jego odpowiedź. Odwróciła się i uśmiechnęła do niego. Wydawał się dziwnie smutny i samotny. Zapragnęła nagle podbiec do niego i przytulić go mocno. Gdyby był jednym z jej przyjaciół, pewnie by tak zrobiła, ale był jej pracodawcą. Pomyślałaby z pewnością, że zwariowała. Jeśli naprawdę czuł się samotny, choć pewnie tylko ona odniosła takie wrażenie, to przecież z łatwością mógłby temu zaradzić. W końcu zaproponował Riley posadę gosposi, a nie osoby do towarzystwa. Dziś miał po prostu ochotę posłuchać z kimś muzyki, jednak gdyby pragnął spędzić wieczór z kobietą, z pewnością zadzwoniłby do Tiffany albo do jakiejś innej ślicznotki. Nie wiedziała dlaczego, ale nagle zrobiło jej się bardzo smutno.

Przez następnych kilka tygodni Benedict był bardzo zajęty. Gdy Riley odwoziła go do pracy, to nawet po drodze nie odrywał oczu od swoich raportów i wykresów. Jeśli nie jadł na mieście, prosił Riley o podanie kolacji do gabinetu.

Którejś nocy nie mogła spać. Narzuciła na koszulę nocną pomarańczowe kimono, które kupiła kiedyś w Osace, i poszła do salonu pooglądać telewizję. Włączyła starą romantyczną komedię, jednak nie była w stanie się skupić. Wróciła do sypialni i właśnie zamierzała zaciągnąć zasłony, gdy nagle zobaczyła jakieś światełko na zewnątrz. Wyszła na taras i spojrzała na pogrążony w mroku ogród. Przeszła parę kroków i zatrzymała się. Znowu zobaczyła małe pomarańczowe światełko.

- Jest tu ktoś? - zawołała zdecydowanym głosem.

- To ja, Benedict.

- A, to przepraszam. - Powoli podeszła w jego stronę. - Nie wiedziałam, że palisz. - Teraz już wyraźnie czuła zapach tytoniu.

- Tak, od czasu do czasu pozwalam sobie na cygaro - odparł. - Świetnie rozładowuje stres. Ale papierosów już nie palę.

- A paliłeś?

- Tak, chyba wszyscy kiedyś palili - mruknął

- Skądże. Jeśli mieli choć trochę oleju w głowie, to nie... - odparła.

- Ja w młodości byłem potwornie głupi - zwierzył się nieoczekiwanie.

- Ja też nie byłem najmądrzejsza. Nie chciałam cię obrazić.

- Przyszłaś sprawdzić, kto chodzi po ogrodzie? - zapytał.

- Zobaczyłam jakiś żarzący się punkcik i zastanawiałam się, co to jest - odparła.

- Nie przyszło ci do głowy, że nie powinnaś sama wychodzić w nocy do ogrodu? Zwłaszcza jeśli podejrzewasz, że kręci się tam ktoś obcy? - Był wyraźnie poirytowany jej lekkomyślnością.

- W razie jakiegoś niebezpieczeństwa zdążyłabym uciec i szybko zaryglować drzwi.

- Bardzo cię proszę, żebyś w przyszłości najpierw informowała mnie o wszystkim, co cię niepokoi - zażądał stanowczo.

- A niby jak cię miałam zawiadomić, skoro byłeś na zewnątrz?

- Na wszystko masz zawsze gotową odpowiedź - mruknął. - Jesteś pozbawiona instynktu samozachowawczego?

- Potrafię bardzo głośno krzyczeć - odpowiedziała poważnie.

- Zdziwiająco skuteczna broń - roześmiał się. - Czy już kiedyś sprawdzałaś ją w praktyce?

- Nie, właściwie nie.

- Zaskakujesz mnie - powiedział. - Uświadom sobie, że nie zawsze będzie ktoś, kto w niebezpiecznej sytuacji pospieszy ci z pomocą. To było ryzykowne zachowanie.

- Ryzykowne? Ja rzadko podejmuję ryzyko - broniła się. - Przepraszam, że zakłóciłam ci chwilę relaksu. Pewnie chcesz zostać sam. - Odwróciła się, żeby odejść.

- Dlaczego uważasz, że chcę być sam?

- Bo wyszedłeś do ogrodu. Mogłeś przecież palić w domu.

- Przyzwyczaiałem się do palenia w ogrodzie, bo pani Hardy bardzo nie lubiła zapachu dymu. Mówiła, że przesiąka nim wszystko w domu, przede wszystkim zasłony.

- Mnie się podoba zapach cygar. Mój stryj przysyłał ojcu co roku z Anglii paczkę cygar na Gwiazdkę. Tata wypalał jedno w Wigilię, jedno w Nowy Rok, a resztę trzymał na specjalne okazje. Gdy mama nie patrzyła, pozwalał mi raz pociągnąć.

- Mogę to sobie wyobrazić - mała dziewczynka z cygarem. Chodź ze mną, ja też dam ci się raz zaciągnąć.

Poprowadził ją wzdłuż alejki wyłożonej kamieniami, aż do altanki. W środku, wzdłuż trzech ścian stały ławki. Po ażurowych ścianach pięło się wino. Riley usiadła w kącie i podkuliła nogi. Benedict usiadł obok i podał jej cygaro.

- Proszę - powiedział. - Pociągnij, jeśli chcesz. Wciągnęła gryzący dym, przez chwilę pottrzymała go w ustach i wypuściła.

- Dzięki. - Oddała mu cygaro.

- Skończ, jeśli masz ochotę - zaproponował.

- Nie, wolno mi było pociągnąć tylko raz - odpowiedziała ze śmiechem. - Zresztą to wystarczy, żeby przywołać wspomnienie.

- Dobre wspomnienie?

- O tak.

- Cieszę się. Powiedziałaś, że ojciec dostawał cygara. Czy to znaczy, że już, nie żyje? - spytał.

- Żyje, ale stryj umarł. Mama nie znosiła palenia i nigdy nie pozwalała ojcu kupować cygar, żeby nie dawał dzieciom złego przykładu.

- Kobiety w twojej rodzinie to siła, z którą, jak widzę, należy się liczyć. Jesteś podobna do matki?

- Fizycznie bardzo. Obie jesteśmy dość niskie. - Postanowiła zmienić temat, by Benedict nie pogrążył się we wspomnieniach o własnym niewesołym dzieciństwie. - Nie musiałeś przecież słuchać pani Hardy, to twój dom. Czy ona starała się zaprowadzić rządy silnej ręki?

- Bez przesady. Ona po prostu z miną cierpiętnicy biegała po całym domu z odświeżaczem powietrza, a następnego dnia wietrzyła wszystkie pokoje.

- To rzeczywiście dość wymowna manifestacja. - Riley roześmiała się. - Czy ojciec Tiffany pali?

- Nie.

Pewnie Tiffany wołałaby, żeby Benedict rzucił palenie, pomyślała Riley. Benedict wstał, wyrzucił cygaro i rozgniół je butem. Jego postać zasłaniała całe wejście do altanki. Riley również wstała, jednak on nie ruszył się, by ją przepuścić. Przez chwilę stali zaledwie kilka centymetrów od siebie. Riley pospiesznie cofnęła się.

- Przecież nigdy się mnie nie bałaś - powiedział Benedict cicho. - A może powinnaś...

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Co takiego? - Musiała się przesłyszeć.

- Mówiłaś, że nie lubisz ryzyka.

Nie widziała w ciemnościach wyrazu jego twarzy, ale i tak wyczuła silne napięcie.

- Bo to prawda, nie lubię - potwierdziła.

- Tyle tylko, że ty nie potrafisz go rozpoznać, nawet gdy się z nim bezpośrednio zetkniesz.

- Nie wiem, o czym mówisz - odpowiedziała chłodno.

- Nie udawaj, że nie rozumiesz. Masz coś pod tą koszulką?

- Co takiego?!

- Nawet w tych ciemnościach zauważyłem, że nic nie masz pod spodem. A na dodatek jesteś bosa.

- Mam na sobie koszulę nocną i kimono i nie jest mi zimno - odparta. Tak naprawdę nogi miała lodowate i przemarzła na kość. Ale za nic w świecie nie przyznałaby się do tego, nie mogła dać Benedictowi takiej satysfakcji.

- Wiesz co, chodźmy do domu, bo się zaziębisz. - Gdy przechodziła koło niego, złapał ją i przyciągnął do siebie. Obejmował ją przez całą drogę do domu.

W środku oślepiło ją ostre światło. Wiedziała, że zapewne jest teraz blada, a w dodatku ma zaróżowiony nos. Wyswobodziła się z objęć Benedicta.

- Fajnie się z tobą paliło cygaro. Dziękuję ci, dobranoc. - Zwilżyła językiem wyschnięte wargi.

- Dobranoc, Riley - odpowiedział i dłuższą chwilę bacznie jej się przyglądał. W jego spojrzeniu było coś dziwnego, niepokojącego.

Następnego dnia Riley wyłączyła w całym domu klimatyzację, jak to zresztą robiła zawsze, gdy Benedict był poza domem, i w szortach i koszulce zabrała się za sprzątanie.

Przed lunchem postanowiła się zrelaksować i popływać w basenie, do czego zresztą pan domu wielokrotnie ją zachęcał.

Po przepłynięciu kilku długości basenu, stanęła przy drabince, odgarnęła do tyłu mokre włosy i dopiero wtedy otworzyła oczy. Tuż przed nosem zobaczyła parę umięśnionych męskich łydek. Uniosła wzrok i napotkała spojrzenie Benedicta.

- Co ty tutaj robisz? - zapytała zdziwiona.

- Mieszkam tu.

Stojąc po piersi w wodzie, chciała w pierwszym odruchu zakryć biust dłońmi. Miała na sobie co prawda jednoczęściowy kostium, ale materiał, z którego był zrobiony, okazał się bardzo prześwitujący.

- Chodziło mi o to, co robisz w domu w porze lunchu?

- W biurze jest malowanie, nie mogłem się skupić. Pomyślałem, że kąpiel w basenie dobrze mi zrobi. Dlaczego wyłączyłaś klimatyzację?

- Z oszczędności, ale włączę ją, jeśli chcesz - zapewniła, po czym zaczęła wspinać się po drabince.

- Nie musisz przerywać kąpieli tylko dlatego, że ja tu jestem - powiedział. Pomógł jej wyjść, a potem, gdy już stopami dotknęła wygrzanych w słońcu kamiennych płytek okalających basen, podał jej ręcznik.

- Dzięki - odparła i odgarnęła włosy do tyłu. Udawała, że nie zauważa taksującego spojrzenia Benedicta. Zresztą, co z tego, że się jej przygląda? Ot, zwykłe męskie zainteresowanie, taki pierwotny instynkt. - Czy chcesz, abym przygotowała lunch?

- Powiedziałem ci już, że nie musisz się teraz mną przejmować - odparł, nie spuszczając z niej wzroku.

- Ale sama właśnie chciałam coś przekąsić, więc to żaden problem. Może być kanapka z szynką i awokado?



- Chętnie z tobą zjem. Spotkamy się w kuchni za parę minut, dobrze?

- Kiedy tylko będziesz chciał - powiedziała i uśmiechnęła się lekko. Gdy szła w stronę kuchni, czuła na plecach jego spojrzenie.

Dopiero gdy znalazła się w środku, usłyszała plusk wody. Przez chwilę wyobrażała sobie, jak Benedict napina mięśnie i skacze do basenu...

Przebrała się w szorty i koszulkę bez rękawów, którą związała na brzuchu. Nakrywała właśnie do stołu, gdy do kuchni wszedł Benedict, ubrany w dżinsy i biały podkoszulek.

- Napijesz się kawy? - zapytała, gdy usiadł przy stole. Skinął głową, więc Riley napełniła filiżanki. Nie zaczął pić, dopóki Riley nie usiadła. Zawsze traktował ją szarmancko, pomimo że była tylko jego gosposią.

- Czy wyłączyłaś klimatyzację w trosce o moje pieniądze, czy o los naszej planety? - zapytał. - Ta instalacja nie zużywa dużo prądu, jest bardzo ekonomiczna. Nie musisz jej wyłączać, zależy mi na tym, żebyś czuła się tutaj dobrze.

- Czuję się tutaj świetnie - odparła szczerze. - Dom jest luksusowy, a kąpiel w basenie daje ochłodę nawet w największe upały.

- To prawda - zgodził się. - Ale chłodzenie kąpielą wystarcza na krótko. - Benedict zmrużył oczy, a potem wybuchnął śmiechem.

Gdy Riley sprzątała kuchnię, przyjechał ogrodnik, który kosił co tydzień trawę. Przez kuchenne okno widziała, jak uruchamia kosiarkę. Pomyślała, że Benowi mógłby przeszkadzać hałas, jednak na wszelki wypadek postanowiła go o to zapytać.

- Przyjechał Kevin, czy mam mu powiedzieć, że pracujesz i ma przyjechać kiedy indziej? - W tym momencie za oknem rozległ się warkot kosiarki.

- Nie, jakoś wytrzymam, pewnie zresztą nie potrwa to długo. Ale dziękuję, że pytasz - uśmiechnął się.

Riley wróciła do siebie i z poranną gazetą w ręku usiadła przy oknie. Co jakiś czas wyglądała do ogrodu i obserwowała pracę Kevina. Było gorąco i chłopak dość często zatrzymywał kosiarkę, by otrzeć pot z czoła. W pewnej chwili, najwyraźniej nie mogąc dłużej znieść upału, zrzucił koszulkę. Riley musiała przyznać, że jest bardzo dobrze zbudowany. Choć miał co najwyżej dwadzieścia dwa lata, nie wyglądał jak chłopiec. Dlaczego zatem jego widok nie robił na niej żadnego wrażenia? Dlaczego natomiast w obecności Benedicta natychmiast traciła głowę?

Odłożyła gazetę i ponownie spojrzała na mężczyznę w ogrodzie. Potężne ramiona i silne, długie nogi. Tak, ten chłopak miał piękne ciało, ale nie czuła podniecenia, tylko podziw, jaki nam towarzyszy, gdy patrzymy na dzieło sztuki.

Kevin wyłączył maszynę, otarł z czoła pot, po czym ruszył w stronę miejsca, w którym zostawił koszulkę. Po chwili pochylił się i wytarł nią spocony tors.

Riley powinna zareagować przyspieszonym pulsem. I co? I nic!

Co się ze mną do licha dzieje? - zastanawiała się. Może to dzieląca nas szyba sprawia, że patrzę na niego jak na jakiś obraz, a nie jak na faceta z krwi i kości. A może...

Dość tych idiotycznych rozważań! Riley zerwała się nagle i pobiegła do kuchni. Wyjęła z lodówki piwo, przelała je do szklanki i poszła do ogrodu.

Nagle zmoczył ją zimny prysznic. Riley krzyknęła, po czym jej uszu dobiegło wyjątkowo siarczyste przekleństwo.

Po chwili woda przestała lecieć i zza rogu wyjrzał zaniepokojony Kevin.

- Najmocniej przepraszam - zaczął się sumitować, a Riley coraz bardziej chciało się śmiać. - Wszystko w porządku, Riley? - zapytał już spokojniej.

- Daj spokój, przecież to tylko woda. - Riley wciąż chichotała. - Chociaż dziś już się kąpałam...

- Naprawdę mi głupio. Są dwa zawory - zaczął jej tłumaczyć. - Chciałem się ochłodzić, ale odkręciłem nie to, co powinienem. Zresztą nie wiedziałem, że tu jesteś...

- Przyniosłam ci zimne piwo. - Podała mu szklanę.

- Ale naleciało do niego wody. - Uśmiechnęła się.

- Fajnie, że się nie gniewasz. Jesteś naprawdę super!

- Wyglądam pewnie jak zmokła kura. - Spojrzała na swoją koszulkę. Pod cienkim, przemoczonym trykotem widać było koronkowy stanik.

- Nigdy nie widziałem równie atrakcyjnej kury. Ani suchej, ani przemoczonej...

Spojrzała mu w prosto w twarz. „Hej, maleńka, może się zabawimy?” - mówiły jego roześmiane oczy.

Hm, przynajmniej znalazłam stuprocentowo skuteczną metodę zwrócenia uwagi facetów na to, że jestem kobietą, pomyślała w przebłysku ponurego humoru. Najpierw Benedicta na plaży, a teraz Kevina. Szkoda tylko...

- Riley! - Zdecydowany, lekko poirytowany głos Benedicta wyrwał ją z zamyślenia. - Wszystko w porządku?

- Tak - odparła. - Tylko zraszacz...

- Widziałem, co się stało - przerwał jej stanowczo i zlustrował ją od stóp do głów. - Idź się przebrać. A ty - spojrzał na Kevina - powinieneś bardziej uważać.

- Przecież nic się nie stało - wtrąciła się Riley. - Każdemu się może zdarzyć...

- Powiedziałem: idź się przebrać! - warknął Benedict i zmarszczył brwi.

Riley w pierwszej chwili chciała wygłosić jakąś kąśliwą uwagę, lecz w porę sobie przypomniała, kto płaci jej bajecznie wysoką pensję i daje dach nad głową. Odwróciła się więc na pięcie i z wysoko podniesioną głową pomaszerowała do domu.

Pod drzwiami zatrzymała się jednak. Była przecież cała mokra, a nie chciała narobić plam na podłodze.

- Na co jeszcze czekasz? - zapytał Benedict.

- Czy mógłbyś mi przynieść ręcznik? - spytała najłagodniej, jak potrafiła. - Nie chcę zachlapać podłogi.

Rzucił jej niecierpliwe spojrzenie, po czym wszedł do środka i wrócił z ręcznikiem.

- Proszę.

Stał przy niej, gdy wycierała włosy, potem ręce i stopy, a na koniec owinęła się ręcznikiem i weszła do środka.

- Co ty właściwie robiłaś w ogrodzie? - zapytał.

- Zniosłam ogrodnikowi piwo - wyjaśniła. - .  
Obserwowałaś go? - zapytał oskarżycielsko.

Nie miała zamiaru się przyznawać, tym bardziej że Benedict był naprawdę zły. Zupełnie jakby popełniła jakieś przestępstwo.

- Siedziałam przy oknie i czytałam gazetę. Zobaczyłam, że Kevin jest strasznie spocony - wyjaśniła.

- Lubisz spoconych facetów?

- Chciałam tylko zanieść mu coś zimnego do picia.

- Postanowiła nie reagować na jawną zaczepkę.

- Ładna mi ochłoda! - roześmiał się sarkastycznie.

- Paradujesz w tych króciutkich szortach i przezroczystej koszulce, a w dodatku cała mokra... Czy tak właśnie podrywasz facetów?

- Nie oblałam się wodą specjalnie! - zawołała ze szczerym oburzeniem.

- Być może ty nie - przyznał z ociąganiem. - Ale czy on nie oblał cię celowo? Mam co do tego poważne wątpliwości...

- Ależ to śmieszne! Przecież nawet nie wiedział, że tam jestem!

- Pierwszy raz przyniosłaś mu coś do picia? - dopytywał się.

- Nie - odpowiedziała szczerze. Kilkakrotnie w przeszłości zaproponowała Kevinowi jakiś napój po zakończeniu pracy. Ale czy było w tym coś zdrożnego? - Jeśli załujesz mu odrobiny soku, to...

- Nie załuję mu odrobiny soku! - przerwał jej. - Chcę tylko powiedzieć, że jeśli zanosisz mu coś do picia, to powinnaś coś na siebie włożyć. - Wymownie spojrzął na jej mokry podkoszulek.

- Mówiłaś, że cię nie obchodzi, w czym chodzę po domu... - broniła się nieporadnie.

- Rzeczywiście, nie obchodzi mnie, ale nie podejrzewałem, że będziesz chodziła prawie nago!

Riley aż zaniemówiła z oburzenia. Owszem, jej spodnie były dość obcisłe, ale wcale nie za krótkie, a podkoszulek dość luźny.

- Zniosłam Kevinowi szklanekę zimnego piwa, to wszystko! - krzyknęła. - Nie sądzę, by zwrócił uwagę, w co jestem ubrana!

- Nie wygłupiaj się! - warknął. - Nie wiesz, jak wyglądasz?

- O co ci chodzi? - Próbowała zyskać na czasie.

Oczywiście wiedziała, o czym mówi Benedict. W normalnych warunkach pewnie byłoby jej miło, że zobaczył w niej atrakcyjną kobietę. Teraz jednak była zła, gdyż jego bezsensowne wymówki naruszały jej dumę

- Nie udawaj, że nie wiesz, jak ryzykowne są takie gierki.

Czy rzeczywiście miał ją za głupią geś, która nieświadomie prowokuje facetów? Było to tak absurdalne, że aż śmieszne. Jednak Riley jakoś nie miała ochoty się śmiać. Najchętniej udusiłaby Benedicta gołymi rękoma, i to natychmiast.

- Naprawdę nie wiem, co masz na myśli - odparła z niewinną miną, buńczucznie unosząc brodę.

Nagle zrozumiała, że posunęła się za daleko. Benedict uśmiechnął się kpiąco, a potem wyciągnął do niej rękę. Próbowwała go odepchnąć, ale tylko wypuściła ręcznik. Po chwili poczuła na piersiach twarde męski tors. Benedict przyciągnął ją mocno, niemal uniósł, a jego usta zachłannie domagały się jej warg. Odchyliła głowę i całkowicie mu się poddała. Serce waliło jej jak oszalałe, a gdy chciała słabnącym głosem zaprotestować, wsunął dłoń w jej mokre jeszcze włosy i przytrzymał mocno głowę.

Nie! - pomyślała. To zupełne szaleństwo! Wtedy jednak Benedict wsunął dłoń pod koszulkę...

Riley wpadła w panikę. Co on robi? Dlaczego mu na to pozwalam? - myślała gorączkowo.

Nie mam siły dłużej się opierać. A powinnam... Czuję, że ten pocałunek nie jest wyrazem miłości, lecz gniewu i złości. Zacisnęła pięści i zaczęła okładać Benedicta, by choć w ten sposób zmanifestować swoje oburzenie. Starła się wzbudzić w sobie uczucie niechęci do mężczyzny, który potraktował ją jak bezwolną marionetkę, jednak jej zdradzieckie ciało domagało się jego pieszczot. Rozchyliła usta i zapragnęła, by ten pocałunek trwał wiecznie. Ale Benedict nagle oderwał się od jej ust. Pochylił głowę i spojrzał na Riley.

- Nie w taki sposób - szepnął. - Nie w gniewie. Ona nie potrafiła tak łatwo się wycofać. Pragnęła go,

i może właśnie dlatego dążyła do otwartej konfrontacji. Nie umiała tak po prostu przejść do porządku dziennego nad całym wydarzeniem.

- Co ty sobie, u diabła, wyobrażasz? - syknęła.

W jego oczach błysnęły wesołe iskierki, jakby słowa Riley szczerze go ubawiły. Pozwolił jej się wyswobodzić. Na wszelki wypadek odsunęła się. Gdyby Benedict ponownie wziął ją w ramiona, nie opierałaby się, choć duma nie pozwalała jej przyznać tego otwarcie.

- Niektórzy mężczyźni z rozbuchanym ego biorą za zachętę nawet niewinne zachowania. Odczytują sygnały wysyłane przez kobietę tak, jak jest im wygodnie - powiedziała ze złością. - Dobrze, że nie wszyscy tacy są, Kevin na pewno jest inny, a i ciebie o to nie posądzałam... aż do tej chwili.

- Nie jestem taki. - Twarz mu pobladła. - Riley, posłuchaj...

Ale ona nie słuchała. Wzięła ręcznik, przeszła przez pokój i ruszyła w stronę swojego apartamentu. Zakryła ręką oczy. Nie, nie płakała. Ona przecież nigdy nie płacze! Do tej pory udawało jej się kontrolować emocje.

Poszła do łazienki, zrzuciła ubranie i weszła pod prysznic. Strugi ciepłej wody dawały ukojenie. Tylko to pieczenie oczu... Zapewne woda podrażniła jej śluzówkę, a te słone strużki wody, które płyną po policzkach, to nie mogą być łzy...

Była na niego zła. Za to, że zaczął ją całować. I za to, że tak szybko się wycofał...

Znacznie później przygotowała kolację, ustawiła wszystko na tacy i ruszyła w stronę gabinetu. Zapukała, ale nie usłyszała żadnej odpowiedzi. Zawahała się, potem położyła rękę na klamce i otworzyła drzwi. Benedict stał przy oknie. Gdy weszła, odwrócił się. Bez słowa przyglądał się, jak Riley stawia tacę na biurku.

- Dziękuję - powiedział po chwili i zrobił krok w jej stronę. - Riley...

- Słucham? - spytała chłodno. Spuściła oczy i skromnie spłotła ręce za plecami, niczym grzeczna pensjonarka.

- Winien ci jestem przeprosiny i wyjaśnienie - powiedział cicho. - Moje zachowanie było poniżej wszelkiej krytyki. Obiecuję, że to się nigdy więcej nie powtórzy.

Wiedziała, jak wiele musiało go kosztować takie wyznanie. Ale tym, co tak naprawdę ją poruszyło, był całkowicie niespodziewany żal, który poczuła po zapewnieniu, że Benedict nigdy więcej jej nie pocałuje. Nawet miała ochotę zawołać: „Dlaczego nie?”. Na szczęście w porę się zreflektowała, a nawet udało jej się przybrać obojętny wyraz twarzy.

- Riley, spójrz na mnie - poprosił. - Czy mi wybaczysz? Riley?

- W porządku - odpowiedziała, podnosząc wzrok. Nic więcej nie mogła właściwie powiedzieć. Gdyby była uczciwa, przyznałaby, że trochę go sprowokowała do niewłaściwego zachowania. - Przyjmuję twoje przeprosiny.

- Dziękuję. - Usiadł przy biurku i zaczął się bawić długopisem. - W środę możesz sobie wziąć dodatkowy dzień wolny, będę jadł kolację poza domem.

- Dziękuję. W takim razie odwiedzę przyjaciół, z którymi mieszkałam - powiedziała. Czyżby chciał mieć „wolną chatę”? - pomyślała.

Nie musiała mu mówić, co robi w wolnym czasie. Jednak próbowała nawiązać lekką, przyjacielską rozmowę, by ich stosunki wróciły do normy.

- Jeśli chcesz, mogę u nich zostać nieco dłużej. - Ta propozycja miała tak naprawdę znaczyć: „Czy zaprosiłeś Tiffany?”. Riley wolałaby wówczas być poza domem.



Spojrzał na nią i skinął głową. Jego twarz była nieprzenikniona.

- Jeśli chcesz, to zostań z nimi dłużej - odparł chłodno i wzruszył ramionami.

Zaległa krótka, trudna do zniesienia cisza. W końcu to Riley się odezwała.

- Zjedz kolację, bo wszystko wystygnie. - Wskazała na tacę. Odwróciła się, by wyjść, a on jej nie zatrzymał.

Dawny pokój Riley zajęty był teraz przez jedną z kuzynek Harry'ego, młodą Maoryskę, która studiowała prawo. Z chęcią odkupiła meble Riley. Zjedli razem obiad, do późna oglądali telewizję i gawędzili wesoło. Riley ułożyła się do snu w pokoju Lin, na dmuchanym materacu.

Następnego wieczoru to Riley przyrządziła kolację dla wszystkich, po której całą paczką poszli do kina, a później na kawę do całonocnej kawiarenki. Kiedy wróciła do domu Benedicta, nikogo nie zastała. Sądząc jednak po lekkim rozgardiaszu w sypialni, Benedict z pewnością nocował u siebie. Energicznie wzięła się do roboty i w błyskawicznym tempie doprowadziła dom do porządku. Do południa zdążyła popływać w basenie, zrobić zakupy i wpaść do biblioteki. Próbowwała przejrzeć notatki z ostatnich wykładów, ale nie była w stanie się na nich skupić. Postanowiła więc, że zrobi jeszcze porządki w szafkach kuchennych.

Właśnie sięgała po główkę czosnku, która potoczyła się w głąb najniższej półki kredensu, gdy ktoś wszedł do kuchni.

- Co ty robisz? - usłyszała głos Benedicta. Podskoczyła i uderzyła głową w górną półkę. Zrobiło jej się ciemno przed oczami. Powoli usiadła na podłodze i zaczęła masować powiększający się z sekundy na sekundę guz.

- Oj, przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć. Mocno się uderzyłaś? - spytał Benedict zatroskanym głosem.

- Nie, nic się nie stało - odparła.

Benedict z lekkim zdziwieniem spojrział na przedmioty zaścielające kuchenną podłogę.

- Chciałam zrobić porządki w szafkach. Przełożyć na niższe półki przedmioty, których częściej używam - wyjaśniła.

- Oj, nie miałam pojęcia, że jest już tak późno - mruknęła, spoglądając na zegarek.

Uśmiechnął się, gdy ich spojrzenia znów się spotkały. Przypomniała sobie, że gdy pierwszy raz poprosiła go, by zdjął coś z górnej półki, był tak samo rozbawiony.

- Zaczęłam właśnie sprzątać ten bałagan i straciłam poczucie czasu. Ale bez obaw, kolacja będzie na czas - zapewniła.

Benedict ukląkł przy niej na podłodze.

- Na pewno dobrze się czujesz? - zapytał z troską.

- A z kolacją nie musisz się spieszyć, nie jestem jeszcze głodny. - Ich oczy znów się spotkały. - Możemy zjeść razem?

Czy on pytał ją o pozwolenie? Była zaskoczona.

- Jeśli tylko masz ochotę - odparła.

- Tak, mam ochotę. - Nie ruszał się z miejsca. - Masz coś na policzku. Chyba kurz albo pajęczynę.

- Już? - Przejechała dłonią po twarzy.

- Nie, trochę wyżej. - Patrzył, jak pociera policzek.

- Nie, nie tu... - Wyciągnął rękę i kciukiem potarł jej skroń. Oczy mu pociemniały. - Już... - powiedział trochę schrypniętym głosem.

Nagle poderwał się i podszedł do drzwi. Zatrzymał się w progu.

- A właśnie, dobrze, że sobie przypomniałem. Spodziewam się gościa, od soboty po południu do poniedziałku rano. Poza tym w niedzielę wieczorem wpadnie parę osób. Czy mogłabyś przygotować coś specjalnego? Przepraszam, że nie uprzedziłem cię wcześniej, możesz sobie za to wziąć wolne dni w przyszłym tygodniu.

- Nie ma problemu, oczywiście - odpowiedziała, siląc się na obojętność, choć poczuła, jak do jej serca wkrada się chłód.

- A w którym pokoju zatrzyma się twój gość?

- Wszystko jedno, przygotuj którąś z sypialni na górze - odparł.

Tak, wszystko jedno, pomyślała, bo ten gość będzie dzielił z tobą łóżko...

- Czy to mężczyzna, czy kobieta? - zapytała na pozór lekko.

- Kobieta - odpowiedział. - Czy to jakaś różnica?

- Nie, skądże, tak tylko pytam. - Wzruszyła ramionami. - Ale kobieta, na przykład, ucieszyłaby się z kwiatów w pokoju czy pachnącego płynu do kąpieli w łazience...

- Kwiaty to świetny pomysł - stwierdził i wyszedł.

Podniosła z podłogi garnek i postawiła go na środkowej półce. Przez sekundę, gdy tak siedzieli z Benedictem na podłodze, wydawało jej się, że coś się między nimi wydarzy. Ale najwyraźniej jej wyobraźnia znów się trochę zagalopowała. Benedict starał się być miły, to wszystko. Błędem byłoby mylenie zwykłej uprzejmości z zainteresowaniem. Nie tak dawno przecież zarzuciła mu błędne interpretowanie wysyłanych przez nią sygnałów. No tak, przyganiał kocioł garnkowi...

Bądź rozsądna, powtarzała sobie w duchu, dla niego ten pocałunek przy basenie był niewybaczalnym błędem. Ubiegłą noc spędził zapewne z Tiffany, a teraz ona spędzi tu weekend. Wspaniała, przepiękna Tiffany, z którą nie sposób konkurować. Przecież to kobieta, o której marzy każdy mężczyzna. Tak przynajmniej powiedział Benedict.

Pozbierała resztę rzeczy porozrzucanych na podłodze i zajęła się przygotowaniem kolacji.

- Jak głowa? - zapytał Benedict, gdy postawiła przed nim pieczeń jagnięcą i młode ziemniaki.

- A, dobrze. - Riley już zapomniała o guzie. Jedyne zranione serce nadal ją bolało...

- Mała, dzielna kicia - zażartował. - Wychowana wśród chłopaków...

- Nie cierpię, gdy mnie ktoś nazywa „małą”. - Spojrzała na niego spode łba. - A jak wieczór z Tiffany?

- Nie była w stanie powstrzymać się przed zadaniem tego pytania.

- Bardzo, bardzo udany... - odparł Benedict i sięgnął po miskę z sałatką. - A jak ty spędziłaś wieczór? - zmienił temat.

- Ja też dobrze się bawiłam - odpowiedziała. - Byliśmy w kinie. - Opisała mu niektóre sceny, rozśmieszając go prawie do łez. - Musisz na to pójść - przekonywała, po czym nieoczekiwanie dla samej siebie dodała:

- Tiffany też by się spodobał.

- Wątpię, ona lubi subtelne, romantyczne historie - odparł.

- No tak. - Riley nie miała ochoty ciągnąć tego tematu. - Wiesz, Harry został zgłoszony do konkursu „Twarz roku” przez jedną z agencji modeli. Zwycięzca pojedzie do Los Angeles. Nawet jeśli Harry nie wygra, to na pewno ten konkurs otworzy mu drogę do kariery.

- Harry jest modelem? - zdziwił się.

- Dorabia sobie w ten sposób, mówiłam ci. Ale gdyby wygrał ten konkurs, nie musiałby się martwić o pieniądze. Fajnie, prawda?

- Z pewnością. - Benedict zaatakował pieczeń z takim impetem, jakby miał na talerzu jakieś niebezpieczne stworzenie, które natychmiast należy uśmiercić.

W sobotę Riley pojechała wcześniej po zakupy i wróciła z torbami pełnymi smakołyków. Samochodu Benedicta nie było w garażu, ale wkrótce usłyszała szum silnika na podjeździe. Pokój dla gościa przygotowała, zanim poszła po zakupy. Nie

zapomniała oczywiście o kwiatkach. Wybrała sypialnię naprzeciwko sypialni Benedicta.

Benedict poprosił, żeby podała lunch na tarasie, jako że o tej porze było tam chłodniej. Posiłek miał być lekki i prosty. Riley przygotowała sałatkę, półmisek przeróżnych wędlin, świeże owoce i sery.

Nakryła do stołu i zaczęła ustawiać półmiski. Gdy po chwili wróciła z kuchni z przyprawami, Benedict właśnie rozlewał wino do kieliszków.

- Riley, poznaj moją starą dobrą znajomą, panią Sato - zwrócił się do Riley. - Przyleciała dzisiaj z Japonii. Pani Sato uczyła mnie japońskiego.

- Miło mi - przywitała się powściągliwie pani Sato. Jej ciemne oczy były ukryte za grubymi, przyciemnionymi szklami. Choć skórę miała gładką, a na głowie ani jednego siwego włosa, widać było, że pierwszą młodość ma już dawno za sobą.

- Mnie również - odparła Riley i ukloniła się głęboko. - Gdybym wiedziała, że mamy gościa z Japonii, przygotowałabym coś ze specjalów tamtejszej kuchni - dodała po japońsku.

- Och, japońską kuchnię mam na co dzień - odparła zachwycona pani Sato w swym rodzinnym języku. - To, co pani przygotowała, wygląda wyśmienicie.

- Nie powiedziałaś mi, że znasz japoński! - wykrzyknął zdziwiony Benedict.

- Ty też się tym nie pochwaliłeś - odparła Riley.

- Benedict był świetnym studentem, inteligentnym i pracowitym - powiedziała pani Sato.

Tak, z pewnością, jeśli coś sobie postanowił, zawsze dopinał swego, skomentowała w duchu Riley, wracając do kuchni. Rynek japoński był niezwykle obiecujący, ale większość biznesmenów korzystała z pomocy tłumaczy. Lecz

Benedict, jak zwykle, wolał polegać na sobie. Nie miała wątpliwości, że potrafi konsekwentnie dążyć do celu.

Po lunchu pan domu sam sprzątnął talerze i odniósł je do kuchni.

- Gdzie nauczyłaś się japońskiego? - spytał.

- W Tokio, uczyłam tam angielskiego - odpowiedziała krótko.

- Myślałem, że jeszcze nie masz odpowiednich kwalifikacji.

- Szukali osób anglojęzycznych do prowadzenia kursu podstawowego. Moje kwalifikacje okazały się wystarczające. W Tokio spędziłam ponad rok, ale bardzo chciałam wrócić do Nowej Zelandii i udało mi się. Znalazłam tu pracę i zapisałam się na studia.

- Ach, więc gdy skończysz studia, to mnie porzucisz? - zapytał pół żartem, pół serio.

- To przecież dopiero w przyszłym roku. - Spojrzała na niego zdziwiona. Chyba nie oczekiwał, że będzie mu prowadzić dom do końca życia...

W niedzielny wieczór na kolacji byli między innymi Tiffany i jej rodzice.

- Gdybyś potrzebowała pomocy, wystarczy szepnąć słówko. - Tiffany uśmiechnęła się do Riley.

- Nie, dziękuję, poradzę sobie - odparła Riley.

- Riley świetnie gotuje - pochwaliła ją Tiffany, zwracając się do pani Sato. - Przejęła prowadzenie domu po poprzedniej gospodyni Benedicta.

Riley wycofała się do kuchni. Miała wnieść deser, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Zdziwiła się, bo Benedict nie spodziewał się więcej gości. Otworzyła, i jej zdziwienie jeszcze wzrosło, ponieważ w progu stał Harry z Rosalitą na ręku.

- Możemy wejść? - zapytał.

- Jestem bardzo zajęta, Benedict wydaje przyjęcie - odparła.

- Nie będziemy ci przeszkadzać - zapewnił ją Harry.

Riley pocałowała dziewczynkę na powitanie, a dziecko uśmiechnęło się promiennie.

- W razie czego ją uciszę - obiecał Harry. - Pójdziemy do ciebie i poczekamy, aż skończysz pracę.

- Nie ma problemu, możecie poczekać tu, w kuchni - powiedziała Riley. - Zaraz podam deser i będę mogła trochę odetchnąć.

Kiedy Riley wzięła ciężką tacę, w kuchni zjawiała się Tiffany.

- Wiem, mówiłaś, że nie potrzebujesz pomocy, ale... - zaczęła Tiffany, lecz zamilkła, gdy zobaczyła Harry'ego. Jej wielkie, niebieskie oczy stały się jeszcze większe, a usta rozchyliły się w zdumieniu.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Harry miał w sobie coś, co działało na kobiety jak magnes. Riley doskonale to rozumiała, bo ona sama wyzwoliła się spod jego uroku dopiero po kilku tygodniach mieszkania pod jednym dachem. Harry zostawiał w łazience brudne ubrania, zapominał czasem po sobie pozmywać i chrapał tak, że współmieszkańcy walili co noc w ścianę jego pokoju.

- Witaj, kochanie! - wykrzyknęła Tiffany i ruszyła tanecznym krokiem w stronę Harry'ego.

Dopiero teraz Riley zrozumiała, że ten okrzyk skierowany był do Rosaliny.

- Pójdiesz do mnie na ręce? - zapytała Tiffany, trzepocząc rzęsami.

Dziewczynka zacisnęła rączki dokoła szyi taty i wtuliła się w jego ramię.

- O, jest troszkę nieśmiała - zaszcebiotała Tiffany. - To twoja córka?

- Tak - odparł Harry nieco zbyt agresywnie, jakby spodziewał się jakiejś niemiłej reakcji rozmówczyni.

Riley przedstawiła ich sobie. Tiffany najwyraźniej zapomniała, po co tu przyszła. Mała podniosła główkę i uśmiechnęła się wreszcie do Tiffany, która nie przestawała gruchać.

- Muszę w końcu podać deser - powiedziała Riley, zabrała półmisek i skierowała się do drzwi.

- Nie jestem ci potrzebna, prawda? - stwierdziła raczej niż spytała Tiffany.

- Mnie nie - odparła Riley. - Jednak Benedict może się zaniepokoić twoim zniknięciem - mruknęła, co Tiffany skwitowała zdziwionym spojrzeniem.

Riley weszła do jadalni i postawiła deser na stole. Benedict nie spytał o Tiffany, pewnie myślał, że jest w



łazience. Gdy Riley wróciła do kuchni, Rosalita siedziała na kolanach Tiffany i bawiła się jej złotymi kolczykami.

- Chyba powinnam wrócić do stołu... - Tiffany niechętnie oddała dziecko ojcu.

- Jestem pewna, że wszyscy zastanawiają się, gdzie się tak długo podziewasz - mruknęła Riley. Odczekała, aż Tiffany wyjdzie i zwróciła się do Harry'ego. - Co ty tu właściwie robisz?

- Rosalita za tobą tęskniła.

- Ja też się za nią stęskniłam. - Riley wzięła dziewczynkę na ręce. - I cieszę się, że was widzę, ale jest późno. Czy Rosalita nie powinna już spać?

- Czy możesz nam wyświadczyć przysługę, Ri? - Harry pogłaskał córeczkę po głowie. - Pozwól nam zostać tu na noc...

- Jasne - powiedziała z lekkim wahaniem. - Ale co się stało?

- Później ci wyjaśnię - obiecał. - W takim razie teraz przyniosę rzeczy z samochodu.

Po dłuższej chwili Harry zjawił się z zabawkami, kocami i ubrankami Rosality. Wspólnie z Riley rozłożyli kanapę w jej salonie.

- Jest wolne łóżko w moim pokoju— zaproponowała Riley. Miała nadzieję, że zniesie jakoś chrapanie Harry'ego.

- Dzięki, mam śpiwór, zwinę się tu na kanapie koło Rosality.

- Jeśli będziesz czegoś potrzebował, radź sobie sam, ja muszę teraz podać kawę - powiedziała.

- Riley, nie mów nikomu, że tu jesteśmy - szepnął Harry.

- No dobrze - odparła niechętnie. Nie podobała jej się ta prośba, a cała sytuacja zaczęła ją niepokoić. Powinna przynajmniej przypomnieć Harry'emu, że przecież Tiffany wie o ich pobycie w domu Benedicta.

Po podaniu kawy zajrzała do swojego salonu. Światło było przygaszone, Harry leżał koło córeczki i nucił jej coś cichutko. Wróciła do kuchni i zaczęła sprzątać po kolacji. Gdy skończyła, poszła do swojego apartamentu. Gdy otworzyła drzwi, Harry usiadł przerażony.

- To ty, Riley? - zapytał.

- No pewnie, że ja - odpowiedziała coraz bardziej zdziwiona. Harry znów się położył, ale Riley postanowiła wyjaśnić sytuację. - Harry, wstawaj, musimy porozmawiać.

- A co będzie, jak wejdzie twój szef? - zapytał.

- Nie wejdzie, zresztą możemy pójść do mojej sypialni - zaproponowała.

Riley położyła się w jednym końcu łóżka, a Harry przycupnął w drugim. Miał na sobie tylko satynowe bokserki w tygrysie paski i wyglądał jak zwykle imponująco, ale Riley była w tej chwili zupełnie uodporniona na jego męski wdzięk.

- Czy ty porwałś Rosalitę? - zapytała wprost.

- Jak mógłbym porwać własne dziecko? - obruszył się. - Aneta chce ją zabrać - dodał po chwili.

- Jak to?

- Spotkała jakiegoś faceta, który nie tylko chce się z nią ożenić, ale i adoptować Rosalitę. Zamierzają wyjechać do Kalifornii! Nie oddam Rosality, ona jest moja!

- Twoja i Anety - przypomniała mu Riley.

- Chciałem pojechać do ciotki, ale Aneta zna wszystkich moich krewnych - powiedział, jakby nie słyszał tego, co powiedziała. - Nie wyrzucisz nas, prawda?

- Och, Harry. - Usiadła obok niego i dotknęła jego ramienia. - Przecież wiesz, że to bez sensu. Nie możesz w ten sposób...

- Ale ja ją tak bardzo kocham... - W jego ciemnych oczach błysnęły łzy.

Riley przytuliła go. Harry otoczył ją ramionami i przywarł twarzą do jej szyi. Czowała na skórze jego łzy.

- Wiem, że ją kochasz, ale musisz odwieźć - dziecko z powrotem do matki. Wspólnie musicie rozwiązać tę sytuację - szepnęła.

- Tak, chyba tak - jęknął.

Riley pocałowała go w policzek i wysunęła się z jego objęć. Harry otarł oczy.

- Ale możemy teraz zostać? - zapytał. - Nie chcę jej już budzić, a poza tym nie wiem, ile czasu jeszcze z nią spędzę.

- Zgoda, ale pod jednym warunkiem. - Riley wskazała stojący przy łóżku telefon. - Zadzwonisz do Anety. Przecież ona odchodzi od zmysłów. Nie wie, co się dzieje z małą - dodała, widząc jego wahanie. - Jest szansa, że nie zawiadomiła jeszcze policji. Rozumiesz chyba, że gdyby postawiono ci zarzut porwania dziecka, mogliby ci odebrać prawa rodzicielskie?

- Porozmawiasz z nią? - zapytał cicho proszącym tonem. - Nie chcę z nią teraz gadać. Powiedz jej, proszę, że z Rosalitą wszystko w porządku, dobrze?

- Podaj mi jej numer - zażądała Riley i odetchnęła z ulgą.

Riley obudziło gaworzenie dziewczynki, któremu towarzyszyły pomruki jej ojca. Przygotowała gorące tosty z dżemem, którymi Harry nakarmił córeczkę.

- Mogłabyś jej popilnować do przyjazdu Anety? - zapytał zaraz po śniadaniu. Mała powędrowała na czworakach do pokoju Riley, gdzie zostawiła swoje zabawki.

- Ja nie chcę patrzeć, jak małą zabiera jakiś obcy facet.

- Oddajesz ją matce, tak jak to robiłeś do tej pory

- sprostowała natychmiast.

- Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił, Ri. - Uściskał ją serdecznie. - Jesteś cudowna, dziękuję.

- Nie ma za co. Wiesz, że każda kobieta skoczy dla ciebie w ogień - zażartowała.

- Powiedz to Anecie.

- Porozmawiam z nią. - Odprowadziła go do drzwi. Gdy je zamknęła, oparła się o nie plecami. Nagle zobaczyła, że z drugiego końca przedpokoju zbliża się Benedict. Miał na sobie krótkie spodenki i podkoszulek.

- Dzień dobry - powitała go.

- Witaj - odparł i poszedł do kuchni. - Czy to twoja? - Wskazał na pełną filiżankę.

- Możesz wypić - odpowiedziała. - Jak ci się dzisiaj biegało?

- Dobrze, dziękuję.

Z jej pokoju dobiegł cichy płacz. Benedict znieruchomiał. Riley ruszyła do drzwi. Rosalita stała przy sofie i próbowała dosięgnąć piłki, która potoczyła się w odległy róg.

- Przepraszam, kochanie. - Podała dziewczynce piłkę. - Wcale o tobie nie zapomniałam, po prostu byłam zajęta.

Gdy się odwróciła, za nią stał Benedict, z takim wyrazem twarzy, jakby właśnie trafił go piorun.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebym przez chwilę zajęła się dzieckiem? - zapytała niepewnie. - Jego mama za chwilę po nie przyjedzie.

- Nie, nie mam - odpowiedział lakonicznie, ale widać było, że mu się to nie podoba.

- Tata? - zapytała dziewczynka.

- Tata pojechał do pracy, ale zaraz przyjedzie po ciebie mama - wyjaśniła dziecku Riley. - O, to chyba właśnie ona. - Poszła otworzyć drzwi.

Kiedy wprowadziła do środka Anetę i jej przyjaciela, Benedict popijał kawę. Skinął głową, gdy przedstawiła mu gości i bez słowa przyglądał się, jak ich odprowadza. Riley pomogła im zapakować rzeczy, pocałowała dziewczynkę na

pożegnanie, ale nie zdołała porozmawiać z Anetą na osobności. Jej chłopak bardzo się spieszył i nalegał, by już jechali. Gdy wróciła do kuchni, Benedict stał dokładnie w tym samym miejscu, w którym go zostawiła.

- A gdzie jest ojciec dziecka? - zapytał.

- Nie chciał się spotkać z chłopakiem Anety. Zamierzają się pobrać, zabrać małą i wyjechać do Ameryki... Harry jest zdruzgotany.

- Jestem pewien, że potrafiłaś go pocieszyć - powiedział Benedict, nie kryjąc złośliwego uśmiechu.

- Owszem - rzuciła wyzywająco.

- Chciałem ci wczoraj podziękować, że podałaś gościom tak wspaniałą kolację, ale drzwi były zamknięte. Nie ośmieliłem się przeszkadzać...

- Tiffany wspomniała ci, że Harry i Rosalita zostają tu na noc? - spytała.

- Owszem - odparł Benedict, bardzo dokładnie płucząc filiżankę. - A tak w ogóle, byłoby rozsądniej, gdybyś zasłaniała wieczorem okna, zawsze może się pojawić jakiś podglądacz.

O co mu chodzi? Riley była pewna, że zaciągnęła zasłony przed pójściem do łóżka. Zawsze to robiła, zupełnie odruchowo.

- Zasłoniłam - odparła, ale Benedict nie usłyszał już odpowiedzi, bo wyszedł z kuchni.

Tego popołudnia pojechała w odwiedziny do Anety i Rosality. Wróciła późno i miała z tego powodu pewne wyrzuty sumienia.

- Przepraszam. Obiecałam Harry'emu, że pojedę do matki Rosality i... - próbowała się tłumaczyć.

- Mogłaś zadzwonić. - Benedict przerwał jej wyjaśnienia, wyraźnie zły i zdenerwowany. - Nie jesteś moją niewolnicą, możesz robić, co chcesz, ale niepokoiłem się o ciebie.

Zacząłem sobie wyobrażać niestworzone historie, co chyba zrozumiałe...

- Przepraszam - powtórzyła. - Już się biorę za przygotowanie kolacji, będzie za pół godziny.

W następnym tygodniu niemal go nie widywała. Jeśli nawet natknęli się na siebie, Benedict traktował ją z pełną dystansu kurtuazją. Wieczory zazwyczaj spędzał w swoim gabinecie, Riley wzięła wolne we wtorek i środę. Odwiedziła panią, u której mieszkała tuż po przyjeździe do Auckland, pobiegała po sklepach i wybrała się na lunch z przyjaciółmi.

W czwartek Benedict powiedział jej, że następnego dnia wyjeżdża.

- Spędzę weekend na jachcie ojca Tiffany - oświadczył z dumą.

- To wspaniale - powiedziała, próbując wykrzesać z siebie choćby cień entuzjazmu. - Weekend bez pracy dobrze ci zrobi, mam nadzieję, że nie zabierasz żadnych papierów, a laptop zostawisz w domu. Dokąd płyniecie?

- Do Bay of Islands. Wyruszamy w piątek po południu. Będiesz miała trzy dni tylko dla siebie, należy ci się trochę relaksu.

A więc wybierają się w romantyczną podróż... Ciekawe, czy tylko we dwoje, czy w towarzystwie rodziców Tiffany. Oczywiście nie zapytała o to.

- Wspaniale - powiedziała. - Mój brat z rodziną przyjeżdżają w ten weekend do Auckland. Chcę zabrać dzieci do wesołego miasteczka... - zawahała się. - Czy mogliby tu przenocować? Nie mają dużo pieniędzy, zaoszczędziliby na hotelu... Dzieci są bardzo grzeczne, na pewno nic nie zepsują. Zresztą, dopilnuję tego.

- Oczywiście - odparł z dziwnie zadowoloną miną. - Tylko uważaj na nie przy basenie. Niech nie kąpią się same, bo łatwo o jakieś nieszczęście.

- Dzięki, jesteś naprawdę bardzo wspaniałomyślny - ucieszyła się.

- Nie ma sprawy. - Benedict wzruszył ramionami. - Nie będzie mnie tu przecież - powiedział trochę nieprzytomnie, jakby myślał o czymś zupełnie innym.

Riley cieszyła się, że nie spędza tego weekendu sama. Zajmowanie się dwójką małych dzieci, rozmowy z bratem i bratową pomagały jej nie myśleć o Benie. O nim i o Tiffany, żeglujących razem ku bajkowo romantycznej Bay of Islands.

W sobotę zaproponowała, że zostanie z dziećmi, żeby brat i bratowa mogli wyjść sobie gdzieś tylko we dwójkę. Miło było patrzeć, jak wrócili, trzymając się za ręce niczym para zakochanych. Benedict poradził, by Riley ulokowała się w pokoju gościnnym, oddając bratu i jego rodzinie swój apartament.

Późnym niedzielnym popołudniem pożegnała rodzinę. Wypiła herbatę w kuchni, przeczytała świąteczne wydanie gazety i zabrała się za sprzątanie pokoju i łazienki, z których korzystała. Postanowiła też zmienić pościel w pokoju Benedicta. Gdy zakładała nowe powłoczki na poduszki, usłyszała hałas otwieranych drzwi wejściowych. Benedict stanął w progu.

W sportowej koszuli i szortach, opalony i odprężony, mógłby reklamować weekend na jachcie.

- Cześć! - uśmiechnął się promiennie.

- Cześć, wróciłeś wcześniej, niż się spodziewałam - odwzajemniła uśmiech. - Już stąd zmykam.

- Nie spiesz się - odpowiedział. - Jak ci się udał weekend?

- Wspaniale. Mój brat z bratową prosili, żeby ci podziękować. Zostawili dla ciebie niewielki upominek.

- Och, niepotrzebnie.

- A jak tobie udał się rejs? - zmusiła się, by zadać to pytanie.

- Żeglowało się fantastycznie! - odrzekł. - Wprost wymarzona pogoda. Idealny wiatr.

Nie miała ochoty słuchać o jego bajecznym rejsie. Ale jeszcze bardziej nie miała ochoty słuchać o wspaniałej Tiffany.

- Bardzo się cieszę, że tak miło spędziłeś weekend. Powinieneś częściej wyjeżdżać - powiedziała.

- Tak myślisz? - Popatrzył na nią dziwnie, jakby jej komentarz sprawił mu przykrość. - Tiffany powiedziała mi to samo.

- No właśnie.

- Czy ja jestem nudny? Nieciekawy? - zapytał nieoczekiwanie.

- Ty? Ależ skąd! - zaprotestowała szczerze. - Tiffany przecież tak nie myśli...

- Nawet jeśli tak myśli, to tego nie okazuje. Stara się nawet udawać zainteresowanie, gdy opowiadam o mojej drużynie koszykarskiej lub pracy.

Riley naprawdę bardzo lubiła z nim rozmawiać. Nawet jeśli nie rozumiała wszystkich technicznych szczegółów. Ceniła jego entuzjazm, poczucie humoru. Lubiała słuchać o jego zamierzeniach i planach na przyszłość. Zdecydowanie był jednym z najbardziej interesujących mężczyzn, jakich w życiu spotkała. O, nie, nigdy nie nazwałaby Benedicta nudziarzem.

- Głupio, że cię w ogóle o to pytam. Nawet gdybym był największym nudziarzem na ziemi i tak byś mi nie powiedziała prawdy.

- Nie skłamałam.

Patrzył na nią uważnie, po czym uśmiechnął się.

- Co chcesz na kolację? - zapytała.



- Dziś masz jeszcze wolne, nie musisz nic robić - powiedział. - Może zamówię rybę z frytkami i zjemy ją razem?

- To brzmi nadzwyczaj zachęcająco. - Jego propozycja bardzo ją ucieszyła. Weekend z rodziną był cudowny, ale teraz poczuła się trochę zmęczona.

- Wezmę tylko prysznic i przejdę się do restauracji - oświadczył.

- Mogę pójść z tobą? - Spacer w chłodny wieczór, bliskość Benedicta... Niczego więcej nie potrzebowała teraz do szczęścia.

- Oczywiście - zgodził się. - Jeśli tylko masz ochotę.

Poszli spacerkiem do restauracji. Wrócili skrótem przez park.

- Jestem bardziej głodny, niż myślałem - przyznał Benedict. - Ten zapach doprowadza mnie do szaleństwa.

- Możemy zjeść tutaj - zaproponowała, wskazując drzewo, pod którym stała ławeczka.

- Dobry pomysł - ucieszył się Benedict.

Zeszli z alejki i przeszli przez trawnik w stronę ławki.

- Poza tym ryba wystygłaby, zanim doszlibyśmy do domu - powiedziała. Pomogła mu rozpakować jedzenie. Zjedli palcami, oblizując je co chwila z tłuszczu.

Benedict zmiażdżył papier w kule i rzucił do śmietnika.

- O rany, co za rzut! - zawołała.

- Podobał ci się?

Popatrzyli na siebie. Świat jakby na chwilę stanął w miejscu. Rozchyliła usta, a on zaczął pochylać głowę w jej kierunku. Wiedziała, że chce ją pocałować, i czekała na to.

Zaszczekał pies, rozległy się czyjeś kroki. Benedict zerwał się z ławki, a Riley poczuła ogromny zawód. Natychmiast przypomniała jej się Tiffany. Przypomniały jej się cele, jakie

wytyczył sobie Benedict. Wiedziała, że nie ma dla niej miejsca w jego życiu.

Ona też poderwała się na równe nogi i zaczęła iść bez celu przed siebie. Nie wiedziała, dokąd idzie, ani po co. Wiedziała tylko, że musi uciec jak najdalej, by nie paść Benedictowi w ramiona i nie błagać go o następny pocałunek.

- Riley? - Po chwili był już koło niej. Zatrzymała się przy placu zabaw. Po chwili usiadła na huśtawce. Jako dziecko uwielbiała tak się bawić. Czuła, że teraz właśnie tego jej potrzeba - prostej, dziecinnej przyjemności. Wzlatywania prawie do nieba.

Zamknęła oczy, odepchnęła się od ziemi. Otworzyła oczy i zobaczyła Benedicta patrzącego na nią z ponurą miną. Przestała się huśtać, gdy poczuła, że jest w stanie z nim rozmawiać.

- Przepraszam - powiedziała cicho. - Może to dziecinne, ale nigdy nie potrafiłam powstrzymać się przed tą zabawą - przyznała. - Te przelatujące przed oczami obrazy... Dają mi dystans i pozwalają inaczej spojrzeć na świat.

- Rozumiem, znam to uczucie.

- Naprawdę? Ty też lubiłeś się huśtać?

- Nie, chodzi mi o nowe spojrzenie na świat...

- Nie bardzo rozumiem, o czym teraz mówisz - przyznała.

- Ja też do końca nie wiem, być może się pomyliłem, być może to był błąd...

Spokój Riley natychmiast się ulotnił. Zrozumiała, co Benedict chciał powiedzieć. To ona była tym błędem, chwilą zapomnienia... Być może podniecała Benedicta, ale tak naprawdę liczyła się tylko Tiffany.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przez resztę spaceru Benedict milczał. Riley również się nie odzywała i starała się iść jak najszybciej. Gdy doszli do domu, miała lekką zadyszkę.

- Szedłem za szybko? Dlaczego nic nie powiedziałaś? - zapytał.

- To dobre ćwiczenie, nic mi nie jest. - Wzruszyła ramionami.

- Jesteś zmęczona? - Obserwował ją uważnie.

- Trochę, dużo się działo w ten weekend - przyznała.

- A ty nie jesteś zmęczony?

- Nie, no i muszę jeszcze popracować - odparł.

- Zrobić ci kawy? - spytała.

- Tak, wezmę dzbanek do biblioteki. - Benedict włączył ekspres. - Idź już spać.

Riley zrozumiała, że pragnął zostać sam.

- Dziękuję za kolację - uśmiechnęła się zdawkowo.

- Chyba faktycznie pójdę się położyć...

- Dobranoc - odpowiedział, biorąc dzbanek z kawą i filiżankę.

Gdy tylko weszła do swojego pokoju, zadzwonił telefon.

- Riley? - usłyszała w słuchawce głos Harry'ego. - Aneta powiedziała, że uświadomiłaś jej, jak ważny jest dla dziecka kontakt z ojcem.

- Ujęłam to trochę inaczej - oświadczyła zgodnie z prawdą.

- Podobno dzięki tobie zrozumiała, jak bardzo kocham Rosalitę.

Riley odniosła wrażenie, że Aneta wcale nie jest tak bardzo zakochana w swoim Kalifornijczyku. Zapewne pragnęła poprzez małżeństwo zapewnić dziecku lepszą przyszłość. Chyba jednak nie uśmiechał jej się wyjazd do Ameryki.

- Poprosiłem ją, by wyszła za mnie - oznajmił Harry.

- I co ci odpowiedziała?

- Że się zastanowi.

- A kochasz ją?

- Tak, kocham - odparł Harry po namyśle. - Byliśmy zakochani, gdy się poznaliśmy i przyszła na świat Rosalita. Potem zaczęło się między nami psuć, nie umieliśmy rozwiązać naszych problemów. Aneta podejrzewa, że proponuję jej małżeństwo tylko po to, by nie stracić Rosality.

- No cóż, powinienes ją przekonać o szczerości swych uczuć i intencji - poradziła Riley.

- Obiecała, że przyjdzie w środę na pokaz - pochwalił się.

- A ty będziesz?

- Oczywiście - odpowiedziała Riley trochę niepewnie. - Jakże mogłabym się nie pojawić? - Uświadomiła sobie, że zapomniała o tym powiedzieć Benedictowi.

- Naprawdę bardzo chciałabym pojechać - zakomunikowała następnego ranka Benedictowi. Nie dopuszczała myśli, że mogłaby sprawić Harry'emu taki zawód.

- Przecież nie będę ci potrzebna tego wieczoru.

- Możesz jechać. - Spojrzał na nią z roztargnieniem.

- Umówiłem się z Tiffany. Muszę z nią, poważnie porozmawiać. Życz ode mnie szczęścia Harry'emu.

Riley spotkała Anetę i swoich przyjaciół przed salą, w której odbywał się konkurs. Za każdym razem, gdy Harry pojawiał się na wybiegu, rozlegały się ich głośne oklaski i pokrzykiwania.

Gdy nadeszła chwila odczytania werdyktu, cała gromadka przyjaciół wstrzymała oddech. Wymieniono nazwiska zdobywców czwartego, trzeciego i drugiego miejsca. A po chwili wszystko stało się jasne - Harry zwyciężył!

Cała paczka podskoczyła ze szczęścia, zaczęła się obejmować i obcałowywać. Wrócili do domu, by razem

uczcić sukces. Świętowanie trwało do rana i Riley położyła się w końcu na materacu W pokoju Lin.

Rano zwlokła się z łóżka, by zjawić się u Benedicta na czas. Gdy zajechała pod jego dom, Benedict właśnie wyjeżdżał z garażu. Pomachała mu, ale nie odwzajemnił gestu, tylko, co było do niego zupełnie niepodobne, ruszył z piskiem opon.

Może kolacja z Tiffany mu się nie udała, pomyślała z nadzieją, ale zaraz zganiała się za taką małostkowość.

Dzień ciągnął się w nieskończoność. Lało, gdy wychodziła z zajęć na uczelni, lało, gdy wracała od przyjaciółki mieszkającej na drugim końcu miasta.

Niedługo po powrocie do domu usłyszała samochód Benedicta. Zaczęła się zastanawiać, czy pan domu zostanie na kolację, gdy ktoś zapukał do drzwi.

W progu stał Harry z wielkim bukietem w rękę.

Przyjmując kwiaty, Riley roześmiała się.

- Ale po co właściwie te kwiaty? - zapytała.

- Nie po co, a za co - poprawił ją Harry. - Za to, że porozmawiałaś z Anetą. Jej facet jedzie do Ameryki... ale sam!

- Biedny chłopak - westchnęła Riley. - Z tej Anety prawdziwa pozeraczką męskich serc... Mam nadzieję, że jej też kupiłeś kwiaty?

- No pewnie, bukiet czerwonych róż, mam w samochodzie. - Harry wyglądał na szczęśliwego. - Mam też malutki bukietek dla Rosaliny, chcesz zobaczyć?

- Jasne! - Poszła za nim do samochodu. Oprócz ogromnego bukietu róż na tylnym siedzeniu leżał bukietek maleńkich goździków, owiniętych złotym papierem i ozdobionych dużą, czerwoną kokardą. W bukietku siedział maleńki klaun w żółtej czapeczce. - Rosalita będzie zachwycona - zapewniła Harry'ego Riley. Pomysł, żeby

potraktować dziewczynkę jak małą damę, wydał się Riley uroczy.

Harry ostrożnie odłożył bukiet na siedzenie i zamknął drzwi.

- Jestem ci naprawdę wdzięczny, Riley. - Pocałował ją w policzek. - Zobacysz, któregoś dnia ożenię się z tą kobietą - zakomunikował z przejęciem.

- Skoro tego pragniesz, to życzę ci tego z całego serca. - Riley objęła go i pocałowała.

Pomachała mu na pożegnanie, odczekała, aż zniknie z pola widzenia, po czym wróciła do domu. Przed wejściem, w geście triumfu, splotła dłonie nad głową, a następnie, niesiona radością, dwoma susami wskoczyła na schody przed wejściem. Tak miło było cieszyć się szczęściem przyjaciela.

W kuchni zaczęła się zastanawiać, w co włożyć kwiaty. Przypomniała sobie o ogromnym wazonie stojącym w kredensie w jadalni.

Z bukietem w rękach przeszła przez pokój, gdy nagle zorientowała się, że przy oknie, tyłem do niej, stoi Benedict.

- O! - zawołała, gdy się odwrócił. - Nie chciałam ci przeszkadzać.

Trzymał w dłoniach szklaneczkę z drinkiem w bursztynowym kolorze. - Od Harry'ego? - zapytał, patrząc na kwiaty.

- Tak, a skąd wiesz?

- Widziałem, jak odjeżdża. - Upił łyk. - Jak mu wczoraj poszło?

Twarz Riley pojaśniała.

- Wygrał konkurs! Wspaniale, prawda? Benedict nie podzielał jednak jej entuzjazmu,

- To znaczy, że jedzie do Ameryki?

- Tak, ale tylko na casting. Chociaż kto wie, może zrobi tam oszałamiającą karierę - rozmarzyła się Riley. - Jednak z

drugiej strony mogłoby to skomplikować kilka spraw... - Pomyślała o Anecie i Rosalicie. - Harry chce się żenić.

Benedict zamarł w bezruchu. Po chwili przechylił szklaneczkę i jednym haustem wypił do dna.

- Chce się żenić? - powtórzył zachrypniętym głosem.

- Tak - potwierdziła Riley. - A gdyby znalazł tam pracę... - Być może zdołałby ściągnąć tam Anetę i Rosalitę, dodała w myślach.

- Pewnie marzysz o takim zakończeniu tej historii?

- Tak, byłoby cudownie, gdyby ten plan się powiódł! Tak bym chciała!

- Szczęśliwiec z niego - skwitował jej słowa ponuro. Problemy Harry'ego najwyraźniej w ogóle go nie interesowały. Spojrzał niechętnym wzrokiem na bukiet, który wciąż trzymała w rękach.

- Chciałam je wstawić do wody... - Wskazała wielki, piękny wazon stojący w kredensie.

- To twoje kwiaty - odparł chłodno.

- Ale oboje możemy podziwiać ich urodę - powiedziała z patosem i uśmiechnęła się.

- To mnie zupełnie nie interesuje.

- Słucham? - Ze zdumienia zamrugła oczami.

- To twoje kwiaty - powtórzył opryskliwie. - Zabierz je do siebie, na miłość boską!

Riley była kompletnie dezorientowana. Czyżby Benedict uważał, że czuję się u niego nazbyt swobodnie? - zastanawiała się.

- Pomyślałam, że chciałbyś...

- Powiedziałem ci już, co sądzę na ten temat! Zabierz stąd te cholerne kwiaty! I nie chcę dzisiaj kolacji. - Podszedł do barku, nalał sobie sporego drinka, po czym błyskawicznie wypił do dna.

Pił whisky, jakby to była lemoniada.

Riley ruszyła do drzwi, lecz nagle się zatrzymała.

- Nie uważasz, że powinieneś coś zjeść? Jeśli masz zamiar nadal pić w tym tempie, to wkrótce...

- O co ci chodzi, do cholery? Jesteś moją gospodynią, a nie jakimś aniołem stróżem!

Riley zawróciła od drzwi. Powinna go teraz zostawić samego, ale zdumiało ją jego zachowanie. Był zawsze taki grzeczny i troskliwy, zupełnie jakby nie spędził dzieciństwa w świecie, w którym opryskliwość i grubiaństwo nikogo nie dziwiły. Musiało się stać coś naprawdę niedobrego...

- Pokłóciłeś się z Tiffany? - zapytała.

- Tiffany nigdy się z nikim nie kłóci - roześmiał się sarkastycznie. - Nigdy nawet nie podnosi głosu i z pewnością nigdy nie ugryzła mężczyzny...

Co mu się stało? - dziwiła się. Dlaczego ciągle do tego wraca?

- No to, o co chodzi? Proszę, powiedz mi. - Patrzyła na niego z niepokojem.

- Nic - syknął przez zaciśnięte zęby i upił potężny haust whisky.

- Gdybym mogła pomóc... - Podeszła i postawiła kwiaty na stole.

- Ty? Pomóc? - Popatrzył na nią, jakby palnęła jakieś wielkie głupstwo. - Jesteś ostatnią osobą, którą poprosiłbym o pomoc.

Nic nie odpowiedziała. Poczula się urażona, jednak próbowała usprawiedliwiać Benedicta. Był przecież zdenerwowany, a w gniewie mówimy mnóstwo rzeczy, których potem żałujemy.

- To może porozmawiaj o twoich problemach z Tiffany. - Postanowiła mu pomóc nawet wbrew jego woli. - Mogę do niej zadzwonić.



- Nie! - Odwrócił się gwałtownie. - Chcę zapomnieć o Tiffany!

- Co ty opowiadasz? - zdziwiła się szczerze. - Przecież to wspaniała, piękna, zmysłowa i wykształcona kobieta...

- A ja jestem największym głupcem pod słońcem! - przerwał jej. Dopił drinka i odstawił szklanekę. - Nie ożenię się z Tiffany, z nikim się nie ożenię....

Ach, więc to tak, pomyślała. Zaproponował Tiffany małżeństwo, a ona dała mu kosza. A ja mu tu wyjeżdżam z jakimiś głupstwami o kwiatach i planach matrymonialnych Harry'ego.

- Och, przykro mi - szepnęła. Współczuła mu teraz, naprawdę mu współczuła, choć jednocześnie odczuwała wielką ulgę, a w jej sercu zapłonęła nieśmiała iskierka nadziei.

Benedict był bardzo roztrzęsiony. Otoczyła go ramionami i przytuliła.

- Tak mi przykro...

- Riley, co ty, na Boga, wyczyniasz? - Spojrzał na nią zdumiony.

- Pocieszam cię...

Gdy podniósł wzrok, dostrzegła w jego oczach taki smutek, że nieomal jęknęła.

- Już dobrze - szepnęła i zaczęła go gładzić po plecach. Czowała przez koszulę ciepło jego skóry. Patrzyła na jego wykrzywione cierpieniem usta. Kochała je. Pragnęła ich... Ale wiedziała, że nie może go pocałować.

Przejechała dłonią po jego włosach, odgarnęła mu z czoła kilka niesfornych kosmyków. Zdała sobie sprawę, że to, przed czym tak bardzo się broni, zawładnęło nią bez reszty. Kochała Benedicta nie tylko dlatego, że był przystojnym mężczyzną. Kochała go za inteligencję, dumę, wytrwałość i silną wolę. I za to, że potrafił być niezwykle czuły i namiętny.

Nic na to nie mogła poradzić, popełniła błąd, przed którym tak długo się broniła. Nienawidziła Tiffany, bo ta kobieta bez serca zraniła jej ukochanego,

- Riley! - Chwycił ją za ramiona. - Jeśli nie zapanuję nad swoimi emocjami... - przerwał. - Nie wiesz, o co prosisz...

Wydawał się zły, a jednocześnie bardzo rozżalony. Pomyślała, że jest bliski płaczu. Był jednak zbyt dumny, by ujawnić rozpacz.

- Nie wstydź się łez... - powiedziała łagodnie. - Powinieneś dać upust emocjom, nie możesz ich zawsze tłumić. Wiem, co mówię.

- Nie chcę płakać - powiedział łamiącym się głosem. Zamknął oczy i umilkł. Nadal trzymał ją w ramionach, ale wydawało się, jakby o tym zapomniał.

- Powiedz, czego pragniesz? - poprosiła. Oparła dłonie o jego tors. Nieświadomie poruszała palcami, pieszcząc go delikatnie. - Jeśli mogę zrobić cokolwiek, żeby ci pomóc, po prostu powiedz....

Zmrużył oczy. Wyglądał jak rozjuszony drapieżnik i Riley przez moment odczuła strach.

Zupełnie niespodziewanie przyciągnął ją do siebie, a jego usta przyłgnęły do jej warg. Otoczył ją szerokimi ramionami. Jego pocałunek był pełen pragnienia, desperacji i pożądania.

Riley miała wrażenie, że świat zewnętrzny przestał istnieć. Tak bardzo pragnęła Benedicta. W końcu była w jego ramionach, w miejscu, do którego zawsze tęskniła, w którym powinna zostać na zawsze. Nie chciała mu się opierać, zresztą nie byłaby w stanie. Wtuliła się w niego, rozchyliła usta i oplótła rękoma jego szyję.

Objął ją w talii i przyciągnął jeszcze bliżej. Odpowiadała żarliwie na jego pocałunki. Nie chciała o niczym myśleć, nie chciała przestać...

W końcu oderwał usta od jej warg.

- O Boże, Riley, czyś ty oszalała? Co ty wyprawiasz?

- Nie widzę w tym nic szalonego... - powiedziała, z trudem łapiąc oddech. - Przecież nie ma nic złego w udzieleniu odrobiny wsparcia przyjacielowi...

- Odrobiny wsparcia? - Spojrzał na nią tak, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu. - Faktycznie, całkiem nieźle ci to idzie - mruknął z przekąsem.

- Mam nadzieję...

- Czemu jest w nim tyle goryczy? - zdumiała się. - Ale o co ci właściwie chodzi? - spytała, wysuwając się z jego uścisku.

- Chodzi mi o to, że... jestem ci wdzięczny, doceniam to, co dla mnie robisz, ale nie chcę wykorzystywać twojej wielkoduszności. - Nie spuszczał z niej wzroku.

- Tak naprawdę to Tiffany wcale ze mną nie zerwała - wyznał.

- Nie? - Riley nie wierzyła własnym uszom. - To ty z nią zerwałeś? Ale dlaczego? Myślałam, że pragniesz się związać właśnie z taką kobietą.

- Tak, Tiffany to idealna kandydatka na żonę - przyznał. - Jest tylko jeden problem...

- Problem? - powtórzyła jak echo, z trudem próbując zapanować nad mętlikiem w głowie. - Dlaczego z nią zerwałeś?

- Zerwałem z nią z twojego powodu - powiedział spokojnie i dobitnie.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Zerwałeś z nią przeze mnie? - Riley wołała się upewnić, czy na pewno dobrze usłyszała.

- Zatrudniając cię, wiedziałem, że popełniam poważny błąd.

Riley dumnie uniosła głowę.

- Chyba nie dałam ci powodu do narzekań - powiedziała.  
- Nie przypominam sobie żadnych słów krytyki.

- Wiesz co, Riley? Zbyt gorliwie wykonujesz swoje obowiązki służbowe - stwierdził, i nie zabrzmiało to jak komplement. - Sądziłem, że jasno sprecyzowałem swoje oczekiwania i wymagania, a sypianie z szefem do nich z pewnością nie należy. - Spojrzał na nią oskarżycielsko.

Riley poczuła, jak bardzo trzęsą się jej nogi.

- Wiem, ale... - Ale co? Ale cię kocham? Nie mogła tego powiedzieć, bo wzbudziłaby w nim poczucie winy. - To nie ma nic wspólnego z pracą - powiedziała z bólem. - To sprawa osobista, między... przyjaciółmi.

- Sypiasz ze wszystkimi przyjaciółmi płci odmiernej? Czy tak?

Spojrzała na niego zdziwiona. Czym sobie zasłużyła na takie traktowanie? Być może Benedict po prostu musiał jakoś odreagować stres, a skoro ona była najbliższej... Czy nie pojmował jednak, jak bardzo ją zranił?

Rozumiała jego motywy, ale nie zamierzała tego dłużej tolerować: Nim jednak zdążyła przemówić, odezwał się ponownie:

- Jestem wielkim przeciwnikiem mieszania pracy i życia prywatnego. Popełniliśmy błąd, który nie ma prawa się powtórzyć. Zapłacę ci za dodatkowy miesiąc, ale nie chcę, byś dla mnie dłużej pracowała.

- Zwalniasz mnie? - spytała zdumiona.

- Wolałbym to określić jako...

- Nie obchodzi mnie, jak byś to wolał określić! - krzyknęła ze złością. - Może mi wyjaśnisz dlaczego?

- Riley, spróbuj mnie zrozumieć.

- Bo chciałam ci pomóc? Bo się z tobą całowałam? Nie sprowokowałam cię, to ty zacząłeś! - Jak mógł jej to zrobić? Tylko dlatego, że na chwilę wypadła z roli gosposi i zabawiła się we współczującą przyjaciółkę? - Przytuliłam cię, by dodać ci otuchy, pocieszyć cię. Nie moja wina, że potraktowałeś to jako zachętę. A za dodatkową zapłatę dziękuję.

- Źle mnie zrozumiałaś, nie to miałem na myśli, Riley.

Ale Riley była już pod drzwiami.

- Pakuję się. Za pół godziny już mnie tu nie będzie - oświadczyła.

- Riley! - Pobiegnął za nią i złapał ją za ramię. Riley potrząsnęła tylko głową i uciekła do swego apartamentu. Jednak Benedict nie zamierzał ustąpić. Już po sekundzie dogonił Riley w drzwiach. - Posłuchaj mnie, ty dzika kocico...

- Daj mi spokój, nie chcę z tobą rozmawiać. - Pobiegnęła do sypialni i energicznie zatrzęsnęła drzwiami. Zapomniała jednak, że w tych drzwiach nie ma zamka...

Oczywiście Benedict poszedł za nią. Złapał ją za ramiona i odwrócił. Riley chciała go kopnąć, ale nie miała wystarczająco dużo miejsca. Zaczęła go okładać pięściami. Benedict nie zwracał na to uwagi, przyciągnął ją jeszcze bliżej, jedną ręką mocno objął w talii.

- Puść mnie! - krzyknęła. - Mówiłeś, że będę tu bezpieczna!

- Jesteś bezpieczna - odparł i popchnął ją na łóżko, padając razem z nią. - A teraz nie ruszaj się, muszę ci coś powiedzieć.

Ciepło i bliskość jego ciała sprawiły, że Riley wtuliła się w niego. Jego zapach działał na nią jak afrodyzjak. Poza tym czuła, że niedawna szarpanina bardzo podnieciła Benedicta.

Musiała wziąć się w garść, by nie pokazać mu, że ona również go pragnie.

- Nie chciałem, żeby sprawy potoczyły się w tym kierunku, ale posunęliśmy się za daleko - powiedział. - Wiesz dobrze, że od chwili gdy cię zobaczyłem, nie mogę przestać o tobie myśleć. To jak obsesja... Od chwili gdy mnie ugryzłaś...

- Nie zrobiłam ci krzywdy - szepnęła.

- Powtarzałem sobie, że nie ma w tobie nic, co mogłoby mnie pociągać. - Benedict chyba nawet nie usłyszał jej cichych słów. - Nie próbowałaś mnie kokietować, ubierałaś się w workowate ciuchy, ale gdy się uśmiechałaś, miałem poczucie, jakbym po długiej podróży wracał do domu. Wtedy spotkałem Tiffany...

Tiffany... Na sam dźwięk tego imienia Riley instynktownie skuliła ramiona.

- Sam się sobie dziwiłem, że straciłem głowę dla takiej wielkookiej, drobniutkiej i pyskatej dziewczyny. Bez przerwy zastanawiałem się, jak smakują twoje usta. A gdy cię już pocałowałem, wiedziałem, że był to błąd numer jeden.

- Przecież to nawet trudno nazwać pocałunkiem - zaprotestowała bez przekonania. Faktycznie, to była sekunda czy dwie elektryzującej przyjemności...

- Powinienem ci wysłać ten cholerny rachunek, a nie szukać pretekstu, żeby się z tobą zobaczyć. Próbowałem przywołać na pomoc zdrowy rozsądek, wmawiałem sobie, że to absurdalne zauroczenie wkrótce przeminie. I wtedy zobaczyłem cię z Harrym i z tym dzieckiem...

- Wiem, co pomyślałaś - weszła mu w słowo. - Że mam dziecko z Harrym i jeszcze synka z jakimś innym facetem.

- Nie byłem w stanie myśleć logicznie. A gdy powiedziałaś, że nie jesteś z Harrym, chciałem cię po prostu zabrać do domu. Dlatego zaproponowałem ci posadę. Nie miałem innego pomysłu, jak zmusić cię do zamieszkania pod

moim dachem. Referencje nie miały żadnego znaczenia, tak naprawdę nie obchodziło mnie nawet, czy masz pojęcie o prowadzeniu domu. Pragnąłem cię jak nikogo przedtem.

Riley nie dała po sobie poznać, jak wielką przyjemność sprawiły jej te słowa. Ja też cię pragnęłam, westchnęła w duchu, ale oczywiście nie powiedziała tego na głos. Jeszcze nie...

- Błędem numer dwa było zaproponowanie ci posady - ciągnął Benedict. - Mieszkałaś pod moim dachem. Pragnąłem cię, a ty jednoznacznie dawałaś mi do zrozumienia, że jesteś nie do zdobycia.

- Naprawdę?

- Powiedziałaś jasno, że gdyby zależało ci na jakimś facecie, dałabyś mu szansę. Swatałaś mnie z Tiffany, jakbym w ogóle cię nie interesował.

- Sam mówiłeś, że jej pragniesz - odparła.

- Gdybym naprawdę jej pragnął, nie potrzebowałbym twojej zachęty. Chciałem jej pragnąć, tak nakazywał rozsądek. Ta dziewczyna byłaby dla mnie idealną żoną. Prawie podjąłem decyzję, że poproszę ją o rękę. Tobie na mnie nie zależało, a jej tak. No a poza tym ona...

- Byłaby znacznie lepszą partią - dokończyła za niego. - Ona pasowała do twojego stylu życia, mógłbyś się pochwalić nią w towarzystwie, wszyscy zazdrościliby ci takiej żony...

- Do diabła! - Teraz on jej przerwał. - Nie potrzebna mi żona na pokaz. Nie mogłem przestać o tobie myśleć, mimo że spotykałem się z Tiffany. Miałem nadzieję, że gdy będę cię codziennie widywał, to w końcu mi spowszedniejesz, dostrzegę twoje wady.

Riley przypomniała sobie, że powiedziała kiedyś Lin coś podobnego na temat Benedicta.

- Tego dnia, gdy zobaczyłem, jak Kevin rozbiera cię wzrokiem, a ty go kokietujesz, dostałem furii.

- Wcale go nie kokietowałam - obruszyła się.

- Gdy cię pocałowałam, a ty oddałaś mi pocałunek, miałem nadzieję, że coś do mnie czujesz. Ale ty znów starłaś na proch moje marzenia. Bałem się po prostu, że odejdiesz. Byłem gotów cię przeproszać, płaszczyć się przed tobą i błagać, byś została. Tylko to było dla mnie ważne. I wtedy Harry spędził z tobą noc. Widziałem was z altanki...

- Nie spędziłam z nim nocy. Nie w taki sposób, jak myślisz.

- Byliście nadzy...

- Ja nie byłam naga, a on miał slipki!

- Zrzucenie takiej ilości ubrania nie zajmuje zbyt dużo czasu - mruknął. - Rano słyszałem, jak chrapał w twoim salonie, pewnie tam było wam wygodniej. Szerokie łóżko...

- Co ty sobie wyobrażasz! - wściekła się. - Jeśli chciałeś się dowiedzieć, trzeba było zwyczajnie zapytać, a nie snuć głupie domysły! - Znów zaczęła się wyrywać. Udało jej się to tylko dlatego, że Benedict sięgnął właśnie do lampki nocnej, by ją zapalić. Riley zepchnęła go z siebie, Benedict przetoczył się i znalazł na podłodze, a ona na nim. Zerwała się szybko na równe nogi. - A tak w ogóle to nie muszę się przed tobą z niczego tłumaczyć!

- Nie musisz - zgodził się z nią. - Ale nie chciałem być jednym z wielu... Czy wiesz, z iloma kobietami był Harry?

- Nie mam pojęcia - syknęła przez zaciśnięte zęby. - Zapomniałam policzyć nacięcia na oparciu łóżka, bo byłam zajęta czymś innym.

Nagła bladość na jego twarzy powinna jej sprawić satysfakcję, oznaczała bowiem, że strzał był celny. Jednak zrobiło jej się głupio. Nie powinna igrać z uczuciami Benedicta. Po co to okrucieństwo?

- Przepraszam, nie chciałam tego powiedzieć. To był głupi żart - mitygowała się.



- Nie wyszłaś za niego - powiedział ze złością - i nie wyjdiesz za niego, dopóki ja będę w pobliżu.

Poślubić Harry'ego? Skąd mu to w ogóle przyszło do głowy? A poza tym, jakim prawem mówił jej, za kogo wolno jej wyjść za mąż?

- Wyjdę, za kogo będę chciała! - wypaliła ze złością.

- Tobie nic do tego!

- Masz zamiar zostać bigamistką? - zapytał.

Bigamistką? Co on bredzi? Może powinnam zadzwonić po pogotowie psychiatryczne, przemknęło jej przez głowę.

- Powtarzałem sobie, że nie jesteś właściwą osobą, ale wszystko na nic. Nie mogę przestać o tobie myśleć - wyznał cicho. - Ale Harry okazał się ważniejszy... Powinienem był wcześniej zdać sobie z tego sprawę.

- O czym ty mówisz? - krzyknęła.

- Próbowałem pokochać Tiffany, naprawdę próbowałem - ciągnął, jakby jej nie słyszał. - O takiej kobiecie marzy każdy mężczyzna, ale nie ja. Gdy zrozumiałem wreszcie, że nie chcę z nią pójść do łóżka, było już za późno, zobaczyłem cię z Harrym.

- Posłuchaj...

- Jeśli to właśnie jego wybrałaś, sensownie byłoby ustąpić. I może nawet tak właśnie bym postąpił, gdybyś nie zaczęła mnie dziś pocieszać. - Chwycił ją za ramiona.

- Nie poślubisz Harry'ego, Riley! Do jasnej cholery, poślubisz mnie!

Riley już w dzieciństwie nauczyła się walczyć o swoje prawa. Nawet jej starsi bracia wiedzieli, kiedy nie ma sensu namawiać ją do zmiany decyzji. Nie lubiła, gdy ktoś mówił jej, co powinna robić, a czego jej nie wolno. Takie perswazje przynosiły zawsze skutek odwrotny od zamierzonego.

Odepchnęła z całej siły Benedicta. Oczy płonęły jej furją.

- Nie wyszłabym za ciebie, nawet gdybyś był ostatnim facetem na Ziemi! Jesteś aroganckim, bezczelnym, zarozumiałym palantem! - wrzeszczała, a potem przez kilka minut wyrzuciła z siebie stek najgorszych inwektyw, jakie przyszły jej do głowy. Odsądziła Benedicta od czci i wiary i właściwie powinien ją natychmiast podać do sądu za naruszenie dóbr osobistych.

Benedict słuchał najpierw z przerażeniem i przygnębieniem, potem ze zdumieniem, a na koniec z wyraźnym rozbawieniem. Kiedy wreszcie zabrakło jej tchu i nie miała już siły na niego wrzeszczeć, wyprostował się i spojrzał jej prosto w twarz.

- Czy to znaczy „nie”? - zapytał.

Nawet nie poprosił jej o rękę! Po prostu oświadczył, że zamierza się z nią ożenić.

- Ech, daj spokój! - Była bliska płaczu. Benedict podszedł do niej, pocałował ją w czubek głowy i uśmiechnął się.

- Myślę, że potrzebujesz czasu, żeby się z tą myślą trochę oswoić - stwierdził wesoło i wyszedł.

Riley stała nieruchomo i patrzyła na drzwi, które za sobą cicho zamknął. W końcu odnalazła w sobie resztki dumy i krzyknęła:

- Nawet gdybyś był ostatnim facetem na Ziemi! - Wydawało jej się, że usłyszała śmiech i trzask drzwi wejściowych. Potem padła na łóżko i zalała się łzami.

Godzinę później Lin otworzyła drzwi przed stojącą w progu Riley.

- Płakałaś! - zawołała i przytuliła przyjaciółkę. - Przez telefon nie powiedziałaś, że stało się coś niedobrego.

- Rzuciłam pracę. Dzięki, że przygarnęłaś mnie na noc - szepnęła Riley.

- Czy ten facet coś ci zrobił? - spytała Lin z niepokojem.

- Zrobił tylko to, na co czekałam od samego początku... Ale wolałabym o tym nie mówić. Nie chcę także, żeby inni mnie widzieli w tym stanie.

- Jasne, zrobisz, co zechcesz - powiedziała Lin. - Przygotowałam ci posłanie w moim pokoju.

Riley padła wyczerpana na materac i wbrew swoim oczekiwaniom prawie natychmiast zasnęła. Obudził ją świergot ptaków i czyjeś głosy w przedpokoju. Śpiewny głos Lin i niski, męski głos, który z pewnością należał do... Wiadomo kogo. Był tu i męczył biedną Lin.

Klnąc pod nosem, wyczołgała się ze śpiwora i w pośpiechu owinęła się satynowym szlafrokiem. Nie mogła znaleźć grzebienia, przygładziła więc włosy ręką i ruszyła do przedpokoju, mrugając oczami, żeby się rozbudzić.

- Riley, pan Falkner chce z tobą porozmawiać - powiedziała Lin, patrząc na przyjaciółkę z niepokojem.

Benedict stał z założonymi rękoma, oparty o zamknięte frontowe drzwi. Pewny siebie i nieustępliwy. Przystojny, zdeterminowany i... taki pociągający.

- Czego chcesz? - zapytała, dumnie unosząc brodę.

- Porozmawiać z tobą - odparł.

- Rozmawialiśmy wczoraj wieczorem.

Czyżby przyszedł poprosić, by zapomniała o wczorajszej rozmowie? Czy może w końcu dotarło do niego, jak bardzo ją zranił?

Nie miała dużo czasu do rozważań, jako że Benedict ruszył w jej kierunku, a jego intencje były zupełnie czytelne. Lin zeszła mu z drogi.

- Harry! - Riley dzikim wrzaskiem zawołała o pomoc.

- Co się dzieje? - Zza drzwi wypadł Harry, ubrany tylko w czarne, satynowe bokserki w karminowe serduszka. Oślepiiony porannym słońcem potrząsnął głową i przetarł

oczy. Jak zwykle rano był kompletnie nieprzytomny. Odwrócił się do dziewczyn i zapytał: - Co się tutaj dzieje?

- Mamy intruza - oznajmiła Riley. - Wyrzuć go!

- Riley, poczekaj... - mruknął Benedict.

- No dawaj, Harry, wywal go stąd! - podjudzała go Riley. Harry był o głowę wyższy od Benedicta, ale Benedict nawet nie drgnął.

- Co ty na to, kolego? - Harry zwrócił się do Benedicta i zmarszczył brwi.

- Chyba powinienem cię uprzedzić, że mam czarny pas w dzudo i jestem niezłym bokserem. Nie wyjdę stąd, dopóki nie porozmawiam z Riley - oznajmił spokojnie Benedict.

- Riley, zrozum, za tydzień mam przesłuchanie w Los Angeles. Nie mogę tam pojechać z pokiereszowaną twarzą. Pogadaj z nim, co ci szkodzi? - Spojrzał na Benedicta - A ty nic jej nie zrobisz, prawda?

- Oczywiście, chcę tylko z nią porozmawiać - odpowiedział Benedict.

- No to idę wziąć prysznic, skoro już mnie obudziliście - mruknął Harry.

Zirytowana Riley odprowadziła wzrokiem swojego niedoszłego obrońcę, gdy ten niespiesznie powlókł się do łazienki.

- Gdzie możemy pomówić na osobności? - zapytał Benedict.

- W salonie - mruknęła Riley.

- Jeśli chcesz, pójdę z tobą - zaproponowała Lin.

- Nie, dzięki, to nie potrwa długo - zapewniła ją Riley. Ruszyła w stronę salonu, a Benedict kroczył za nią jak cień. Gdy weszli, zamknął drzwi.

- Dlaczego mnie okłamałaś? - zapytał bez żadnych wstępów.

- Okłamałam?!

- Przecież nie chcesz poślubić tego przystojniaczka...
- Nic takiego nie mówiłam! - Spojrzała na niego jak na osobę niespełna rozumu. - Harry ma zamiar poślubić Anetę!
- Kto to jest Aneta, na miłość boską? - Benedict patrzył na nią zaskoczony.
- Widziałeś ją, to matka Rosality.
- Myślałem, że ona chce wyjść za tego Kalifornijczyka, z którym przyjechała po dziecko.
- Chciała, ale już nie chce. Natomiast jeszcze nie wie, czy chce wyjść za Harry'ego - wyjaśniła Riley.
- Wczoraj trochę się zagalopowałem "w oskarżeniach pod twoim adresem - oświadczył Benedict.
- Z tym mogę się zgodzić. - Riley z powagą skinęła głową.
- A co miałem myśleć? Nawet Tiffany podejrzewała, że coś cię łączy z Harrym - bronił się Benedict.
- Uważała, że śpimy ze sobą? - Riley była kompletnie zaskoczona. Skąd Tiffany przyszło to do głowy? - A co ona może wiedzieć na ten temat?
- Byłaś o niego zazdrosna!
- Kto ci naopowiadał takich głupot?
- Tiffany twierdziła, że byłaś o niego zazdrosna. Podobno zareagowałaś bardzo ostro, gdy zaczęła z nim rozmawiać - powiedział niepewnie.
- Co?! Byłam zajęta, może trochę zmęczona - odpowiedziała zdziwiona. Tiffany mogła źle zinterpretować moją reakcję, uświadomiła sobie Riley. - A jak Tiffany zareagowała, kiedy z nią zerwałeś?
- Nadal jesteśmy przyjaciółmi - wyjaśnił. - A poza tym nie zerwałem z nią, bo nie było czego zrywać. Tak naprawdę nic się między nami nie wydarzyło...
- Podejrzewam, że powiedziałaś jej, jak bardzo zależy ci na podtrzymaniu tej znajomości.

- Nie, to ona zaproponowała, żebyśmy zostali przyjaciółmi, a ja się zgodziłem.

- Biedna dziewczyna, ma złamane serce, a musi robić dobrą minę do złej gry.

- Nie przyszedłem tu rozmawiać o Tiffany.

- Musimy o niej porozmawiać, bo zarówno jej, jak i mnie pozwoliłeś myśleć, że ją kochasz.

- Nigdy jej tego nie powiedziałem - odparł. - Tobie zresztą też nie mówiłem, że ją Kocham.

- Ale przecież stwierdziłeś, że ona „jeszcze” nie jest twoją dziewczyną.

- Prawie cię wtedy nie znałem, tak samo zresztą jak Tiffany.

- Powiedziałeś mi, że uparcie dążysz do wytyczonych celów. Odniosłam wrażenie, że zależy ci na związku z Tiffany.

- To ty przekonywałaś mnie, że pragnę Tiffany. Zresztą wszyscy starali się mnie o tym przekonać. Podczas rejsu jachtem nawet jej ojciec dał mi do zrozumienia, że zaakceptowałby nasz związek. Powinienem być szczęśliwy, a czułem się winny. Nie kochałem Tiffany i zrozumiałem, że nigdy jej nie pokocham. Ten weekend był męczarnią. Gdy wróciłem do domu, do ciebie, uświadomiłem sobie, jakim byłem głupcem. Postanowiłem jednak, że zanim porozmawiam z tobą, powinienem najpierw załatwić sprawę z Tiffany. I okazało się to znacznie łatwiejsze, niż się spodziewałem. Gdy tylko powiedziałem jej, że musimy poważnie porozmawiać, zaczęła się rozwodzić nad tym, jak to nie planuje na razie wychodzić za mąż i jak bardzo mnie lubi i ceni jako przyjaciela. I to właściwie wszystko, co mam do powiedzenia w tej sprawie. Czy możemy teraz porozmawiać o nas?

- O nas? - powtórzyła.

- O tobie, o mnie i o naszym ślubie - odpowiedział.

- Wczoraj twierdziłaś, że nie poślubiłabyś mnie, nawet gdybym był ostatnim mężczyzną na naszej planecie.

Riley nie chciała wyjść na osobę, która rzuca słowa na wiatr. Jednak byłaby głupia, zatraskując szczęściu drzwi przed nosem. Nie zamierzała też tak łatwo ustępować, miała przecież swoją dumę... a przynajmniej jej resztki.

- Nie poprosiłeś mnie o rękę. - Spojrzała na niego ostro.

- Wiem... nie potrafiłem się zachować jak cywilizowany człowiek. Instykt mi szeptał do ucha, bym przerzucił cię przez ramię i zawłókł do mojej jaskini. Nigdy jeszcze nikomu się nie oświadczałem i nie bardzo wiem, jak to zrobić — przyznał się. - Śmiałe rozwiązania, które stosuję w biznesie, w tym przypadku nie mają racji bytu.

- Zamilkł na dłuższą chwilę, a gdy się odezwał, postarał się, by jego pytanie zabrzmiało jak błaganie. - Czy wyjdiesz za mnie, Riley?

Czas jakby stanął w miejscu. Ptaki nadal śpiewały za oknem, a Riley uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że rozmawia z Benedictem zaledwie kilka minut, a nie całą wieczność, jak jej się zdawało.

Oczywiście, że pragnęła zostać jego żoną. Ale przecież to się nie mogło udać...

- Nie - odpowiedziała. Odwróciła się od niego, by nie zobaczyć jej smutnych oczu. Miała wrażenie, że jej serce pękło na tysiąc kawałków. Zaległa cisza. Riley sądziła już, że na tym koniec, że Benedict nic więcej nie powie.

- Czy możesz mi wyjaśnić dlaczego? - zapytał poważnie.

To pytanie wydało jej się tak idiotyczne, że pewnie by się roześmiała, gdyby nie obawa przed atakiem histerii.

- Zgadnij! - rzuciła buńczucznie, zaciskając ręce w pięści.

- Nie kochasz mnie?

Wzruszyła tylko ramionami. Bała się cokolwiek powiedzieć, by nie wyznać przypadkiem prawdy. A kłamstwo nie przeszłoby jej teraz przez usta... Dlaczego on sobie po prostu nie pójdzie i nie zostawi jej w spokoju? Tak postąpiłby dżentelmen, ale widać Benedict, mimo znajomości dobrych manier, nie był dżentelmenem.

- Spójrz na mnie, Riley - poprosił. - Spójrz mi w oczy i powiedz, że nie jesteś we mnie zakochana...

Ten to ma tupet! - wściekła się w duchu.

- Nie, nie jestem - skłamała, unosząc wojowniczo podbródek. Jego pewność siebie gdzieś nagle zniknęła. Był spięty, w jego oczach zobaczyła strach. - A czego się, do diabła, spodziewałeś! - krzyknęła. - Przecież ty mnie nie kochasz!

- Wczoraj wieczorem...

- Wczoraj wieczorem - weszła mu w słowo - powiedziałaś, że byłam twoją obsesją, ale nie widziałeś we mnie niczego godnego uwagi. Ba, wręcz nie rozumiałeś tego zauroczenia moją niepozorną osobą. Powiedziałeś też, że zniweczyłam twoje plany poślubienia doskonałej kobiety i zamieszkania z nią w doskonałym domu. Że obróciłam w perzynę twoje sny o wspaniałym życiu! Ty szukasz ideału, księżniczki z bajki, a ja jestem całkiem zwykłą, pospolitą dziewczyną. Podejrzywałeś nawet, że sypiam z każdym, kogo choć trochę polubię. Otóż wiedz, że to nieprawda, ja nie jestem na każde zawołanie, a już na pewno nie twoje. A tak w ogóle to moje życie seksualne nie powinno cię obchodzić!

- Do diabła, ale narobiłem bigosu. - Złapał się za głowę. - Nie myślę o tobie w taki sposób. Jesteś pełna życia, namiętna, bystra, słodka, pyskata. Czuję, że twoje miejsce jest w moich ramionach. - Patrzył na nią tak czule... Riley wprost rozpływała się ze szczęścia. - Nigdy nie uważałem, że sypiasz, z kim popadnie. Zresztą, nie interesuje mnie twoja przeszłość,



tylko wspólna przyszłość. Jesteś jedyną kobietą, z którą chcę być i o której myślałem poważnie...

Riley słuchała jego słów niczym najpiękniejszej muzyki. Nie czuła już gniewu.

- Byłem ślepy, zbyt długo nie widziałem, jaki skarb znalazłem. Jak człowiek opętany gorączką złota, który wyrzuca bezcenny diament, bo to nie to, czego szukał

- ciągnął Benedict.

Rozległo się stukanie do drzwi.

- Riley? - usłyszeli głos Lin. - Czy wszystko w porządku?

- Tak, wszystko gra - odparła Riley. Tak naprawdę, jeszcze nie grało, ale być może już wkrótce...

- Harry tu jest. I Tom też... - poinformowała ją Lin na wszelki wypadek.

- Harry tu jest - powtórzył z uśmiechem Benedict.

- Pewnie broniliby cię, o ile nie ucierpiałaby przy tym jego piękna buzia.

- Obroniliby mnie, gdyby zaszła taka potrzeba. - Riley nagle otrząsnęła się spod działania czaru Benedicta.

Podeszła do drzwi i otworzyła je. Stali za nimi Lin, Tom i Harry. - Wszystko w porządku - uspokoiła ich. - Dzięki, nie potrzebuję waszej pomocy.

- W porządku, chłopcy. - Lin gestem ręki odprawiła kolegów. - Przepraszam, że wam przeszkodziłam. - Uśmiechnęła się do Riley i Benedicta i zamknęła drzwi.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że mnie kochasz? - Riley musiała o to zapytać.

- Właśnie to staram się ci powiedzieć od wczorajszego wieczoru - odparł.

- Nie zrozumiałam cię. Odniosłam wrażenie, że masz do mnie pretensje o tak wiele rzeczy. O to, że wprowadziłam chaos w twoje uporządkowane życie i zniweczyłam ambitne plany na przyszłość. Po co bez przerwy powtarzałaś, jak

bardzo próbujesz wyrzucić mnie z serca? - Westchnęła. - Jednak nie powiedziałaś nic, co mogłoby być podstawą do zbudowania trwałego związku.

Benedict jęknął i uderzył się ręką w czoło.

- Zachowałem się jak dureń - przyznał. - Gdy mówiłaś, że pragnę idealnej żony i wymarzonego życia, uświadomiłem sobie, jak nudna byłaby taka egzystencja. Życie z tobą nigdy nie będzie nudne. Będzie różnorodne i fascynujące, trochę szalone i pełne miłości. Będzie prawdziwe, zupełnie niepodobne do tego sztucznego życia, które chciałem prowadzić. Po tym weekendzie na jachcie, gdy wróciłem do domu i zastałem cię w swoim pokoju, bardzo się ucieszyłem.

- Wyglądałeś na szczęśliwego - przypomniała sobie.

- Byłem szczęśliwy, bo zobaczyłem cię. Miałem ochotę po prostu wziąć cię w ramiona i pocałować.

Cieszyła mnie sama twoja obecność, rozumiesz? A ostatniej nocy, kiedy się wyprowadziłaś, w ogóle nie mogłem spać.

Riley przygryzła wargę.

- Wiem, że będziesz się ze mną droczyć i ze mnie żartować. Wiem, że czasem będziesz się na mnie wściekać. Ale wiem także, że nigdy nie będę się z tobą nudził... To cudowne.

- A jeżeli narobię ci wstydu w towarzystwie? - Riley nadal nie była przekonana. - Nie znam się na przykład na strojach, nie wiem, jak się ubrać na eleganckie przyjęcie.

- Wszystkiego się nauczysz. A właściwie, jeśli nie interesujesz się modą, to nie zwracaj sobie nią głowy.

- Mam trochę niewyparzoną buzię. Nie zawsze będę zachowywać się *comme il faut*, zdaje się, że tak się to mówi...

- Nie mam pojęcia, nie znam francuskiego - roześmiał się.

- Nie znam się też na etykiecie i, prawdę mówiąc, w dzisiejszym świecie prawie nikt nie zna jej zasad.

Najważniejsze jest to, Riley, że ciebie obchodzą inni ludzie. Masz dobre serce. I niech no ktoś spróbuje ci dokuczyć, a będzie miał ze mną do czynienia - zakończył.

- Faktycznie, lepiej nie zaczynać z takim wysportowanym facetem. A swoją drogą nie widziałam u ciebie pucharów, nie zostawiłeś ich sobie na pamiątkę?

- Nigdy nie trenowałem boksu.

- A dzudo?

- Trochę, ale nie mam czarnego pasa.

- Skłamałeś! - krzyknęła z udawanym oburzeniem.

- Zrozum, Riley, byłem zdesperowany. Dopóki cię nie spotkałem, żyłem w świecie pozornych wartości. Teraz wiem, że pieniądze to nie wszystko, podobnie jak pozycja zawodowa czy zewnętrzne oznaki luksusu, to znaczy drogi wóz i wytworny dom w reprezentacyjnej dzielnicy. Liczy się miłość, ale nie rozumiemy tego, dopóki jej nie odnajdziemy. Ja miałem to szczęście i byłbym głupcem, gdybym nie skorzystał z okazji, jaką podarował mi los. Bez ciebie moje życie straciłoby sens...

Ponownie rozległo się pukanie do drzwi.

- Riley? Sam i Tom już poszli. Harry też już idzie, mogłabym się z nim zabrać, podrzuciłby mnie do miasta.

- Oczywiście, Lin, możesz iść. Dzięki za gościnę. Wychodząc, wszystko pozamykam.

Po chwili słychać było trzaśnięcie frontowych drzwi i warkot silnika.

- Zostaliśmy sami? - zapytał.

- Na to wygląda.

- Czy słusznie podejrzewam, że nie podjęłaś jeszcze ostatecznej decyzji?

- Być może. - Przyjrzała mu się uważnie.

- Mógłbym użyć innych argumentów, ale zobowiązałem się, że cię nie dotknę, o ile sama o to nie poprosisz.

- Jakich argumentów? - spytała łagodnie.

- Dobrze wiesz.

Ten zmysłowy głos był dla niej niemal torturą. Pragnęła Benedicta, wiedziała, że i on jej pragnie. To, co wisiało w powietrzu, to, co za chwilę miało się stać, niemal zapierało jej dech w piersiach.

Riley przełknęła głośno ślinę.

- Dotknij mnie - poprosiła.

- Chodź - szepnął, a gdy znalazła się w jego ramionach, wziął ją na ręce i przeniósł na kanapę. - Gdzie chcesz, bym cię dotknął?

Uderzyła go pięścią w ramię.

- Jak to gdzie? Wszędzie! - zawołała i pocałowała go.

Kanapa okazała się za mała i po chwili oboje wylądowali na podłodze. Ich nogi były splecione, a usta coraz bardziej spragnione pieścizot.

- A teraz mnie ugryź - szepnął, a Riley spełniła jego prośbę. Potem to Benedict delikatnie ugryzł ją w ramię. Czuła, jak zalewa ją fala rozkoszy.

Choć pożądała go do obłędu, zapragnęła go teraz ukarać. Za to, że tak długo kazał jej czekać na wyznanie miłości.

Benedict spojrział na gipsowego krasnala, którego ktoś przyniósł z ogrodu.

- Coś mi się zdaje, że zawstydzamy Homera. Nie, pewnie niejedno już w życiu widział - stwierdził.

- Mmm - mruzczała Riley, wtulając twarz w jego tors. - Czy teraz mogę ci mówić Ben?

- Nazywaj mnie, jak chcesz. A tak w ogóle, to przydałoby się nam łóżko z prawdziwego zdarzenia.

- Po ślubie - odparła.

Zaległa pełna napięcia chwila ciszy.

- Riley? - Odwrócił jej głowę tak, by móc jej spojrzeć prosto w oczy. - Czy to znaczy „tak”?

- Być może - przekomarzała się z nim. - Chociaż nie wiem, czy nie będziesz musiał użyć mocniejszych argumentów - oznajmiła nagle. - To dla ciebie nic trudnego, opanowałeś tę sztukę po mistrzowsku.

- Posłuchaj, ty mała...

- Łobuzico?

- Dzika kotko. Chcę, byś mi wreszcie powiedziała: tak czy nie?

- Gdy zawodzi logika, uciekasz się do użycia siły, co? - droczyła się z nim.

- Riley! - krzyknął, teraz już naprawdę zły.

- Tak - odparła pośpiesznie. - Ale ja tak lubię utrzcć ci czasami nosa.

Benedict odwrócił się i namiętnie ją pocałował.

- Dziękuję, najdroższa. - szepnął przez ściśnięte gardło. - Może w takim razie uda mi się kiedyś namówić cię, żebyś urodziła mi dziecko?

- Może... - Musnęła palcem jego usta. - Ale do tego musiałbyś mnie namawiać bardzo długo.

- Z tym nie będzie żadnego problemu - obiecał, po czym ją gorąco pocałował.

